Rog Phillips

Łupieżcy

(The Despoilers)

Amazing Stories, October 1947
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

ROZDZIAŁ I

— **M**amo.
— Tak, Geraldzie.
— Dlaczego nie mogę wyjść na zewnątrz?
Kobieta zmarszczyła z wahaniem brwi, jej pragnienie zdania się na własny osąd walczyło z nakazami kolonii. Zasady obowiązujące w kolonii mówiły, że dzieciom nie powinno się dawać odpowiedzi na to pytanie aż do osiągnięcia ósmego roku życia.
Jednak Gerald był już tak bystry jak ośmiolatek, chociaż miał dopiero siedem lat. A może to tylko miłość macierzyńska wmawiała jej, że syn jest ponad przeciętnie mądry?
W końcu jednak nakazy kolonii wygrały.
— Nie możesz wyjść na zewnątrz, ponieważ jest to polecenie najwyższej rady — powiedziała stanowczo — i jeśli chcesz dorosnąć oraz stać się członkiem najwyższej rady, musisz nauczyć się być posłusznym i przez cały czas utrzymywać dyscyplinę. Tego wymaga bezpieczeństwo rasy.
— Ale dlaczego najwyższa rada wydała takie polecenie? — Gerald dopytywał się uparcie.
— Ponieważ jej zdaniem jest to najmądrzejsza rzecz, jaką możemy zrobić — odpowiedziała matka. Przez chwilę uważnie się zastanowiła, a potem zaczęła mówić dalej. — Nieważne, jak mądry jest mały chłopiec, nie ma on trzydziestu czy czterdziestu lat doświadczenia, na którym mógłby oprzeć swoje decyzje. Jego osądy nie są dojrzałe. Musi więc przestrzegać nakazów wynikających z bardziej dojrzałych osądów, a takimi właśnie są polecenia najwyższej rady. Kiedy dorośniesz, też nie będziesz chciał aby mali chłopcy kwestionowali każde wypowiedziane przez ciebie słowo. Powiesz im, żeby byli cicho, dopóki sami nie dorosną.
Gerald, widząc, że matka zaczyna się coraz bardziej zacinać w uporze, stwierdził że jakiekolwiek kolejne pytania będą teraz bezowocne. Zrobił po dnie jaskini kilka skoków na jednej nodze, po czym lekko się odbił, wyleciał w powietrze i wykręciwszy ciało wylądował na rękach.
Ruszył dalej na rękach, dopóki nie znalazł się na korytarzu, gdzie odbił się ponownie i przekręcił na nogi. Kątem oka dostrzegł w oddali Jimmy’ego Grahama.
— Hej, Jimmy! — krzyknął do niego.
Jimmy, który szedł w drugą stronę, odwrócił się i zaczekał na Geralda.
— Dokąd idziesz? — zapytał Gerald, kiedy dogonił swego przyjaciela.
— Szedłem na basen — odparł Jimmy.
Gerald skinął głową i chłopcy ruszyli razem, idąc dalej bez słowa.

W końcu doszli korytarzem do miejsca, w którym w ścianie znajdował się boczny otwór. Przeszli przez niego, zerwali się do krótkiego biegu, pokonując krawędź basenu długim, czystym skokiem. Weszli w wodę i nurkując odpłynęli daleko od ściany basenu.

Wypłynęli na powierzchnię i wyszczerzyli do siebie zęby w uśmiechu.

Inni pływacy także pokonywali zręcznie wodę, zarówno wierzchem, jak i pod nią. Basen miał może ze czterdzieści stóp szerokości i sześćdziesiąt długości. Z dyszy na jednym jego końcu strzelał strumień wody, zapewniając ciągły dopływ świeżego jej zapasu. Jej poziom utrzymywany był na stałej wysokości poprzez odpływ w dnie, regulowany mechanizmem pływakowym.

Gerald nagle został oślepiony kaskadą wody, która zalała mu oczy i twarz. Potrząsnął głową i zobaczył że rozprysk spowodowany został przez Arthura Smitha.

— Cześć, Art — przywitał go.

Następnie popatrzył na Jimmy'ego i mrugnął do niego okiem. Obaj pomknęli przez wodę. Art podjął wyzwanie i ruszył za nimi, w końcu doganiając Jimmy'ego i klepiąc go w ramię.

Potem zaczął uciekać, mając za plecami ścigającego go Jimmy'ego i Geralda. Gra w berka zaczęła się na dobre. Jakiś czas później cała trójka zmęczyła się tym sportem i zebrali się razem na środku basenu, powoli brnąc przez wodę.

Ich twarze zrobiły się poważne. Gerald pokręcił głową i popatrzył na pozostałą dwójkę. Oni również pokręcili głowami.

— Zawsze ta sama śpiewka — stwierdził z oburzeniem Gerald. — Mamy tu zostać, i czekać dopóki nie dorośniemy.

— Chyba że znajdziemy jakiś sposób na to, aby się stąd wymknąć — zauważył Jimmy z chytrą miną.

— A jaki sposób? — spytał Art. — Wiecie przecież, że jakiś dorosły zawsze pilnuje wyjścia z jaskini, żeby zatrzymać nas w domu.

Jimmy uważnie się rozejrzał. Żaden z pływaków nie był wystarczająco blisko, aby usłyszeć ich rozmowę, więc zaczął mówić ochrypłym szeptem.

— Słyszeliście, że jedzenie przynoszone jest w zamkniętych beczkach — zaczął mówić. — Możemy schować się w którejś z beczek i w ten sposób wydostać się na zewnątrz.

— Możemy — zgodził się Gerald, — ale w ten sposób nie udałoby nam się wrócić nie pozostając odkrytymi. Tak czy inaczej zostaniemy przyłapani.

— Tak — przyznał Jimmy, — ale przynajmniej dowiemy się, jak wyglądają Oni, a to i tak jest więcej, niż wie większość dorosłych. Najwyżej dostaniemy solidnie po uszach.

— Ojej — zawołał Art — może warto byłoby dostać po uszach, a może nawet gorzej, żeby zobaczyć jak Oni wyglądają.

— Zróbmy to — namawiał swoich towarzyszy Jimmy.

Zgodzili się chętnie.

— Oto, co zrobimy — zaczął Jimmy. Mówił szybko przez pięć minut, podczas gdy Gerald i Art spierali się z nim od czasu do czasu. W końcu wszyscy się zgodzili.

Spoza pieczary w której znajdował się basen doleciał cichy gwizd. Ktoś na brzegu powtórzył go przeszywająco, tak że sygnał dotarł wyraźnie do każdego miejsca w basenie.

Chłopcy podpłynęli do brzegu i wyszli z wody. Potem dołączyli do procesji mężczyzn i chłopców w różnym wieku. Zaraz miały zacząć się codzienne lekcje.

Skręcili do małego pomieszczenia z boku głównego korytarza. Dno jaskini było w nim pokryte czystym, białym piaskiem. Nauczycielką była młoda kobieta, w wieku około dwudziestu lat.

Kiedy wszystkie siedmiolatki, zarówno chłopcy jak i dziewczęta, wchodziły i siadały, kucała na piasku odwrócona do nich plecami, pisała coś na nim, a potem wstała i zwróciła się twarzą do nich.

— Co tu jest napisane, Jimmy? — zapytała.

Jimmy wstał, żeby wyraźniej zobaczyć napis na podłodze.

— Tu jest napisane, że Ala ma Asa — odpowiedział, czytając powoli i niezgrabnie.

Nauczycielka wygładziła piasek i powiedziała:

— Teraz wszyscy to napiszecie.

Dwaj mężczyźni siedzieli, opierając stopy na płask o podłoże, zwróceni twarzą do siebie. W przestrzeni która ich dzieliła, na wygładzonym piasku narysowany był kwadrat z linii. Kwadrat podzielony był na mniejsze kwadraciki, a na niektórych z utworzonych w ten sposób pól ustawione były ciemne i jasne kamyki.

Siedzącą parę otaczało kilkunastu ludzi, ci najbliżej nich także przysiedli, a ci za ich plecami stali i nachylali się do przodu, aby lepiej widzieć „planszę".

Jeden z dwójki grających podniósł kamyk i umieścił go na innym kwadracie.

Szmer podniecenia przebiegał pośród zgromadzonych gapiów.

— Zamierza spróbować ataku Wilsona, który dał tamtemu zwycięstwo w mistrzostwo świata w 1956 roku! — szepnął do swojego sąsiada jeden z nagich, długobrodych mężczyzn.

Do pomieszczenia po cichu wszedł młody człowiek, którego broda ciągle jeszcze miała formę krótkiego, puszystego meszku, i rozejrzał się po przyglądających się widzach. Potem podszedł do jednego z nich i popukał go w ramię.

Zaczepiony kibic uniósł głowę i rozejrzał się. Młody człowiek wyszeptał mu do ucha:

— Doktorze Sorenson — powiedział — już czas na pański wykład na temat niezmienników prawdziwości, na zajęciach z zaawansowanej logiki.

Obrzucając szachistów ostatnim pełnym żalu spojrzeniem, doktor Sorenson odwrócił się i wyszedł z pomieszczenia.

Naukowiec i młodzieniec szli w milczeniu obok siebie. Młody człowiek ciągle spoglądał na doktora, jakby chciał mu coś powiedzieć, ale się wahał.

— Doktorze Sorenson — zaczął nieśmiało — pewnie jestem strasznym głupcem, ale nie do końca rozumiem, czym są te niezmienniki prawdziwości. Czy mógłby pan mi trochę pomóc?

Oczy doktora Sorensona, jasno błyszczące nad zasłaniającą twarz brodą, rozbłysły przyjaznym humorem.

— Myślę, że po dzisiejszym wykładzie będziesz to dosyć jasno rozumiał — odparł młodemu człowiekowi.

Idący, skręcili z korytarza do jednego z pomieszczeń. Znajdowało się w nim około dwudziestu dziewcząt i chłopców w wieku lat osiemnastu, siedzących w uniwersalny sposób, opierając stopy płasko o ziemię. Młody mężczyzna dołączył do nich, zaś doktor Sorenson przeszedł przez grupę do przeciwległej ściany, a potem odwrócił się i stanął twarzą do nich.

— Zaszliśmy daleko w nauce logiki, od czasu kiedy po raz pierwszy zajęliśmy się tą fazą waszej edukacji — zaczął. — Wykłady, których wysłuchaliście z moich ust, nie były jakoś specjalnie rygorystyczne, lecz raczej miały na celu PRZYGOTOWANIE was do bardziej rygorystycznych studiów w przyszłości.

— Dzisiaj omówimy coś, co leży u podstaw wszelkiej wiedzy — pojęcie niezmiennika prawdziwości. Wszyscy wiecie co jest niezmiennikiem w algebrze i teorii równań. Jest to stały przedrostek jakiejś zmiennej, który pozostaje bez zmian przy dowolnej transformacji współrzędnych. Niezmiennik prawdziwości nie wywodzi się tak bezpośrednio z pojęcia matematycznego, stanowiąc jego, jak można powiedzieć, metafizyczną analogię. Tym niemniej jednak, wiele można uzyskać dzięki badaniu koncepcji matematycznej, która dopełni wasze zrozumienie koncepcji logicznej.

— Z algebry dowiadujemy się, że dowolne dwa równania, których niezmienniki są identyczne, opisują tę samą figurę, niezależnie od wartości innych stałych. Niezmienniki te w pełni opisują wszystkie cechy figury reprezentowanej przez równanie, Z WYJĄTKIEM umiejscowienia figury względem pewnego określonego układu współrzędnych.

— Jeśli nie wiemy, które z występujących w równaniu stałych są niezmiennikami, równanie MUSI zostać przekształcone przez pewien zestaw operacji transformujących, w celu określenia, które ze stałych SĄ niezmiennikami.

— Załóżmy teraz, że z jakiegoś powodu niemożliwe jest wykonanie takiego przekształcenia. Nie ma wtedy sposobu na to aby dowiedzieć się, które ze stałych są niezmiennikami. Można teoretyzować aż do końca świata, ale nigdy nie dotrze się do żadnego sposobu stwierdzenia, że ta konkretnie określona stała jest niezmiennikiem, a tamta nie.

— W obserwacji otaczającego nas świata, nasze zmysły dają nam coś, co moglibyśmy nazwać RÓWNANIAMI PRAWDZIWOŚCI. Są to kompleksy wrażeń wytwarzane w naszych nerwach sensorycznych przez zewnętrzne i wewnętrzne siły, które istnieją z absolutną pewnością.

— Nasze umysły mają tendencję do rozbijania tych heterogenicznych równań prawdziwości na prostsze zależności, oraz związane z nimi stałe, zmienne i operacje. Następnie próbujemy odkryć niezmienniki, które dają prawdziwy obraz tego, co się dzieje, bez względu na to jaki jest punkt umiejscowienia obserwatora.

— W tym miejscu, mamy do czynienia z pewnym problemem. Stwierdzamy, że wszystkie nasze równania nie są tym, za co je uważaliśmy – przekształceniami paru równań, które mogłyby zostać porównane w celu znalezienia niezmienników prawdziwości. Stwierdzamy, że są one CZĘŚCIAMI jednego równania i że nie możemy przekształcić tego równania w jakikolwiek sposób. Jaki jest tego skutek? Wiemy bardzo dużo o kosmosie, ale nie wiemy, które jego części istnieją tylko z punktu widzenia człowieka, a które części istnieją niezmiennie, niezależnie od tego, jakie stworzenie je obserwuje, lub czy w ogóle jakiekolwiek DOWOLNE stworzenie je obserwuje.

— Dochodzimy tutaj do czegoś, co można nazwać pozycyjną iluzją, to jest do koncepcji rzeczywistości całkowicie zależnej od zmysłów i umysłu pewnego obserwatora, a która nie jest obiektywną rzeczywistością dla żadnego innego obserwatora. W tym przypadku, słowo „pozycyjna" w żadnym razie nie oznacza pozycji przestrzennej, tylko coś zupełnie innego.

— Konotację tego słowa można zrozumieć poprzez następujące jego użycie: dogłębna wiedza temat jakiegoś zagadnienia, umieszcza jej posiadacza w lepszej pozycji, jeśli chodzi o stawienie czoła problemom z nim związanym.

— Nasza pozycja w kosmosie jest taka, że całe nasze doświadczenie nie jest w stanie rozwiązać problemu podstawowej natury kosmosu. Nasza pozycja generuje tylko jedno równanie prawdziwości w ostatecznej analizie, a zatem nie jesteśmy w stanie określić, które czynniki tego równania są niezmiennikami i są pozycyjne stałe.

— W celu określenia niezmienników prawdziwości, musielibyśmy pozyskać naukę i kulturę przynajmniej jednej obcej rasy LUB musimy teoretycznie wykonać dowolne transformacyjne przekształcenie naszej własnej wiedzy naukowej, które da się wykazać jako POPRAWNE. Wtedy wspólne prawdy obu tych otrzymanych wersji będą niezmiennikami kosmosu, i stąd otrzymana zostanie fundamentalna rzeczywistość, oddzielona od iluzji pozycyjnej.

— Wszystko to, oczywiście, daje wam jedynie słabiuteńki przebłysk sensu pojęcia niezmiennika prawdziwości, a nawet jeszcze mniejszy pojęcia pozycyjnej iluzji. Obie te rzeczy są dla nas prawdziwe i obie SĄ prawdziwe każdym sensie tego słowa. Dam wam przykład z dziedziny nauki.

— Udowodniono mianowicie, że powietrze jest mieszaniną cząsteczek i atomów różnych pierwiastków, poruszających się we wszystkich możliwych kierunkach. Dowodzą tego najróżniejszego rodzaju eksperymenty. Jednak pod względem mechanicznym, powietrze jest rodziną punktów wektorowych, z których każdy określa prędkość i kierunek przepływu bezpośrednio otaczającego go płynu. I płyn ten jest jednolity, nie składa się z dyskretnych jednostek.

— To jest iluzja pozycyjna. Gdybyśmy byli nie więksi niż cząsteczki, nigdy byśmy nawet nie pomyśleli o atmosferze jako o jednolitym płynie. Poprzez eksperyment ustalamy, że nasze zmysły dają nam pozycyjną iluzję natury atmosfery. ALE eksperymenty jedynie zastępują jedną pozycyjną iluzję, inną, a my pod tym względem nie jesteśmy w o wiele lepszej pozycji niż wcześniej. Aby się upewnić, rozbiliśmy jedną fazę głównego równania na bardziej elementarne formy. I krok po kroku, odrzucamy miliony iluzji, tak żeby to co zostanie pasowało do uporządkowanego wzorca zwanego fizyką.

— Ponieważ sami jesteśmy częścią tego równania, pomimo tego że dotarliśmy tak daleko, utknęliśmy z braku kolejnego punktu obserwacyjnego.

Dr Sorenson zawahał się i uśmiechnął się do swojej młodej widowni. Po chwili, kontynuował.

— Mam taką swoją pieczołowicie pielęgnowaną teorię — powiedział przepraszająco — że może uda nam się znaleźć ten inny punkt obserwacyjny w umysłach naszych Łupieżców. Nie chodzi mi tylko o to, że skoro ich zakres widzenia leży w ultrafiolecie, to rzeczy które oni widzą, nie istnieją dla nas. Nie miałem również na myśli faktu, że ponieważ ich kształty są obce nawet dla naszych myśli, to zajmują oni inną pozycję względem kosmosu.

— Czy zajmują, czy też nie, jest nieco poza zakresem naszej dyskusji. Chodzi o to, że jeżeli i kiedy osiągniemy mistrzostwo w opanowaniu ich nauki, będziemy mieli świadomość pozycji, jaką zajmują oni w kosmosie i porównując punkty zgodne w ich wiedzy naukowej oraz naszej, otrzymamy klucz do wejścia albo w kolejny zestaw niezmienników prawdziwości, albo w procedurę operacyjną umożliwiającą określenie całkowitej transformacji naszej własnej wiedzy.

Jedna z rąk wystrzeliła do góry. Doktor Sorenson skinął głową pozwalając aby osoba, która ją podniosła, zadała pytanie.

— Jak daleko — zapytał uczeń — zaszliśmy w zdobywaniu ich wiedzy naukowej, przez te minione tysiąc lat, od czasu ich przybycia?

Doktor zacisnął usta, tak mocno że widoczne były nawet poprzez jego gęstą brodę.

— Trudno powiedzieć — odparł. — To tak samo, jakbyście mnie zapytali, jaką część swojego życia już mam już za sobą, w sytuacji gdy przecież nie wiem ile dokładnie będę miał lat, kiedy umrę.

— Jesteście teraz w szóstej radzie juniorskiej. Kiedy będziecie gotowi do przystąpienia do trzeciej rady juniorskiej rozpoczniecie poznawanie wiedzy Łupieżców, którą do tej pory udało nam się zdobyć. Wy, oczywiście, wiedzieliście już od czasu kiedy byliście w czwartej radzie dziecięcej, że Łupieżcy mają wzrok czysto ultrafioletowy, słuch naddźwiękowy i trzeci zmysł fizyczny, którego jeszcze na razie nie rozumiemy.

— Pozyskaliśmy pewną część ich wiedzy matematycznej i dowiedzieliśmy się, że nawet w tej części istnieją pewne rozbieżności z wiedzą posiadaną przez nas. Te rozbieżności wyraźnie wspierają teorię, że część ich wiedzy naukowej będzie zgodna z naszą, część z niej będzie

odmienna od naszej, a część z naszej nie będzie w ogóle istniała w ich nauce.

— Przekonacie się, że z wyjątkiem liczb jeden i dwa, liczby pierwsze nie istnieją w ich tabelach liczbowych. W ich miejsce jest coś, co z kolei nie istnieje w naszych tabelach liczb. Ciągle próbujemy to zrozumieć, po prawie dziesięciu wiekach badań. Różnice te umożliwiają im rozwiązywanie równań wielomianowych o szóstej i ósmej potędze, podczas gdy nie są w stanie rozwiązać równań sześciennych i kwadratowych, które my potrafimy. A z kolei nasza algebra nie potrafi rozwiązywać równań o szóstej i ósmej potędze!

— Oni nie są świadomi niedostatków swojej algebry ponieważ nie wiedzą, że istnieje coś takiego jak równanie sześcienne! Nie są świadomi, że dokonują rzeczy niemożliwej, gdy rozwiązują algebraicznie równanie o potędze szóstej. Widzicie, w ich POZYCJI w kosmosie JEST to możliwe.

— A jednak — i tu doktor Sorenson pokręcił ze zniechęceniem głową, — kiedy zakładamy, że matematyka wspólna dla nas i dla nich, jest niezmiennikiem, także mamy problem. Może być nawet tak, że teoria niezmienników prawdziwości, sama w sobie nie jest niezmiennikiem. W takim przypadku może ona nie być również niezmiennikiem dla obu naszych pozycji. Innymi słowy, istnienie niezmiennika prawdy byłoby tylko pozycyjną iluzją dla naszej pozycji, a dla ich nie, i całe nasze cierpliwe podkradanie wiedzy naukowej Łupieżców, przez te wszystkie wieki, w niczym nam nie pomoże.

— Jeżeli rzeczywiście tak by było, musielibyśmy wyciągnąć z tego wniosek nie do pomyślenia, że kosmos nie ma żadnej podstawowej struktury oprócz poszczególnych pozycji, oraz że istnieje tyle fundamentalnych prawd nauki, ile jest ras istot inteligentnych we wszechświecie.

— Widzicie więc, że twierdzenie, iż niezmiennik prawdy jest niezmiennikiem, zależy od niezmienności zapewnienia dowodu prawdziwości tego twierdzenia! Interesująca jednak jest już sama sposobność nauczenia się matematyki, która przekracza możliwości naszego pojmowania i jest kompletnie błędna z naszej pozycji jako ludzi, tyle że daje właściwe odpowiedzi, które są równie pewne, jak nasze własne, a czasami nawet pewniejsze.

— No dobrze, drodzy uczniowie — zakończył wykład dr Sorenson — będziemy jeszcze dyskutować nad tym, aż do końca bieżącego okresu.

Uniosło się kilka rąk. Nauczyciel wskazał na jedną z nich, i wybrany uczeń wstał.

— Czy prawdą będzie — zapytał powoli — jeżeli powiemy, że teoria niezmienników prawdziwości, jeśli nawet sama nie jest niezmiennikiem, to zawiera w sobie niezmienniki?

— To bardzo dobra uwaga — odpowiedział dr Sorenson. — Stwierdzenie to wydaje się być poprawne, na podstawie tej niewielkiej wiedzy, jaką posiadamy.

— W takim razie — kontynuował student, — czy nie dowodzi to poprawności całej teorii?

— Niekoniecznie — odparł doktor filozofii. — To mógłby być przypadkowy niezmiennik lub niezmiennik „liniowego” związku transformacyjnego między dwoma punktami obserwacji. Sugerowałbym, abyś przejrzał matematykę niezmienników algebraicznych dla pełniejszego wglądu w niezmienniki logiczne.

ROZDZIAŁ II

Gerald Nolan leżał cicho, leciutko otwartymi szparkami oczu obserwując matkę i ojca, oraz braci i siostry. Wszystko oni leżeli w różnych odprężających pozycjach, czekając cierpliwie na nadejście snu.

Po kolei ich oddechy pogłębiały się i robiły coraz wolniejsze, aż wreszcie wszyscy zasnęli.

Wtedy Gerald ostrożnie wykradł się z pokoju, zatrzymując się przy wyjściu na zewnętrzny korytarz. W zasięgu wzroku nikogo nie było widać, więc ukradkiem wymknął się z domu i ruszył korytarzem w kierunku przeciwnym do tego, w którym leżał basen.

W końcu doszedł do skrętu w prawo, za którym korytarz prowadził w stronę magazynów żywności. Zatrzymał się przy wejściu do pierwszego z nich i wślizgnął się do środka. Tam zaczekał na pozostałych.

Pół godziny później w magazynie pojawili się również Jimmy i Art, i dołączyli do niego. Przeprowadzili krótką szeptaną konsultację na temat tego, co robić dalej.

Potem zaczęli ostrożnie unosić pokrywy, aż znaleźli trzy pojemniki na śmieci, wypełnione tylko w połowie. Obrzucając się nawzajem ostatnimi na wpół nerwowymi, na wpół pokrzepiającymi spojrzeniami, weszli wybranych przez siebie puszek i opuścili za sobą ich pokrywy.

Gerald puścił pokrywę pozwalając by opadła na swoje miejsce, a następnie docisnął ją mocno pociągając za końce śrub wystające od spodniej strony. Poczuł chwilowy napływ paniki i żal spowodowany głupotą tego całego przedsięwzięcia.

Wiedział jednak, że nigdy jako pierwszy nie zaproponuje powrotu do domu i rezygnacji ze zbliżającej się przygody. Gdyby tylko ktoś z pozostałej dwójki podniósł pokrywę puszki i przyznał się, że jest za bardzo wystraszony aby kontynuować tę eskapadę, chętnie przyłączyłby się do niego w decyzji o odwrocie.

W głębi serca zdawał sobie jednak sprawę, że pozostali czują to samo co on i żaden z nich nie skrewi przed kolegami.

Zacisnął więc dzielnie zęby i rozsiadł się na stercie skórek od bananów, liści warzyw i pestek brzoskwiń, tworzących jego nieco wilgotne łóżko, aby zaczekać na to, co miało się wydarzyć.

Kilka godzin minęło w niezmąconej ciszy. Wreszcie usłyszał dudnienie, kończące się metalicznym szczękiem. Gerald wiedział, że był to odgłos zamykania rozsuwanych drzwi na korytarz.

Chwilę później zabrzmiał głębszy huk. To powinno być otwarcie drzwi do tajemniczego „na zewnątrz”, którego nikt od niemal tysiąca lat nie

oglądał na oczy, a przynajmniej nie wrócił do jaskiń aby opowiedzieć swą historię.

Wkrótce potem poczuł że puszka w której siedzi, jest podnoszona i przesuwa się do przodu w kolejnych szarpnięciach. Później została upuszczona, uderzając z boleśnie dużą siłą w podłoże. Dobiegły do niego łomoty innych spadających puszek.

Następnie odebrał wrażenie ruchu, dziwnych wibracji i stuknięć. Trwało to mniej więcej przez dziesięć minut, a potem ustało. Słyszał jak gdzieś w pobliżu spadają kolejne puszki. Wrażenie przemieszczania się powróciło.

Po kilku godzinach nastąpił dłuższy okres ruchu i drgań. Potem poczuł, że jego puszka się unosi. Została podniesiona na wysokość kilku stóp, a następnie gwałtownie odwrócona do góry dnem.

Oczy Geralda ledwie zarejestrowały widok fantastycznej scenerii oglądanej z perspektywy patrzącego z góry, która i tak nic dla niego nie znaczyła, przejechał policzkiem po jednej ze śrub wiszącej na łańcuchu pokrywy pojemnika, przeleciał koło niej, i zaledwie miał czas spostrzec pędzącą w jego kierunku powierzchnię wody, kiedy wpadł do niej z głośnym pluskiem.

W ostatniej chwili złapał pełne płuca powietrza i poczuł że woda zamyka się nad nim. Wszędzie dookoła pływały śmieci, oblepiając mu skórę.

Woda była jego ulubionym żywiołem. Nie wykonywał gwałtownych ruchów. Czekał. Wkrótce dostrzegł postaci Jimmy'ego i Arta nurkujące pod powierzchnią. Oni również szybko odzyskali orientację i zobaczyli jego. Natychmiast zaczęli płynąć do niego, żeby się połączyć.

Powierzchnia wody w górze była gęsto pokryta pływającymi śmieciami. Jimmy wskazał w jej stronę, a następnie położył palec na ustach. Gerald i Art zrozumieli, co miał na myśli.

Ostrożnie ruszyli w stronę powierzchni, aż wreszcie wystawili głowy odrobinę ponad nią. Brzegi strumienia powoli pozostawały z tyłu, i nigdzie nie było widać nawet śladu ruchu.

Wszędzie wokół nich pływały śmieci, gruba ich warstwa skutecznie skrywała ich przed czyimkolwiek wzrokiem.

Na powierzchnię wypłynęli blisko od siebie. Teraz złapali się za ręce, ciągle trzymając nad wodą tylko nosy, czoła i oczy.

Ich mózgi rejestrowały niewiarygodne rzeczy, przekazywane im przez oczy. Nieskończenie głębokie niebo w górze, wywołujące zawroty głowy, powodujące że mieli ochotę zanurkować na samo dno, znaleźć tam jakąś skałę i przykleić się do niej. Rozumieli co to jest – że to jest niebo. Ale intelektualne pojmowanie pojęcia czegoś, czego ludzie nie widzieli od dwustu pokoleń, nie mogło równać się z rzeczywistością!

Zdumiewały ich również mocno ogromne ilości wody, jakich nie widzieli nigdy wcześniej. Brzegi strumienia przesuwały się leniwie, co powodowało że ląd wydawał się im niepewny i płynny.

Dopiero kiedy pokonali pewną odległość, zaświtało im w głowach, mniej więcej równocześnie, że to woda się przemieszczała, a nie ląd.

Świadomość tego była dla nich tak zadziwiająca, że zapomnieli o ostrożności i wystawili głowy zupełnie nad wodę, żeby popatrzeć na siebie. Potem wybuchnęli śmiechem. Byli wolni.

Po chwili przypomnieli sobie o ostrożności. Rozejrzeli się dookoła. Wysoko w powietrzu, poruszały się jakieś dziwne obiekty. Nie uczyli się jeszcze o samolotach ani nigdy nie słyszeli o ptakach, tak więc nie mogli nawet się domyślać, czym mogą być te latające rzeczy.

Dalej przed nimi, strumień zaczął zbliżać się do lasu. Nigdy nie słyszeli o lesie, ani nie wiedzieli, czym jest żywa, dziko rosnąca roślina.

— Myślisz, że tam przed nami to czekający na nas Łupieżcy? — zapytał bojaźliwie Art.

— Nie — logiczny umysł Geralda odrzucił ten pomysł. — Cokolwiek by to nie było, Łupieżcy by nas ścigali. I nie byłoby to tak wielka horda. Najwyżej paru.

Tym niemniej jednak trójka siedmiolatków zakopała się nieco głębiej w pływających śmieciach, tak że skryły ich one przed spojrzeniem czyichkolwiek oczu na brzegu strumienia.

Kiedy strumień dopłynął do lasu, przyjrzeli mu się bardziej dokładnie. Wnioskując z kształtu drzew, że są one jakąś formą roślinności, w końcu popłynęli do brzegu i brodząc wyszli z wody.

Wysokość drzew wzbudziła w nich grozę. Wcześniej najwyższą rzeczą jaką widzieli było jedynie dziesięciostopowe sklepienie rodzinnych jaskiń. Teraz przed ich oczyma rozpościerały się rośliny, których główne konary wznosiły się w niczym nie przykryte niebo, na wysokość pięćdziesięciu, do siedemdziesięciu stóp.

Nieznane wcześniej, oszołamiające rozmiary wolnej przestrzeni ponad nimi, jakieś stworzenia dryfujące im leniwie nad głowami, a jeszcze wyżej zwisały pofałdowane chmury.

Chłopcy byli głodni. Zaraz jak tylko stwierdzili, że nieruchome olbrzymy wzdłuż brzegu, były to rośliny, zaczęli próbować ich liści. Liście miały nieznane im kształty i smakowały dziwnie. Skierowali swą uwagę na mniejsze rośliny i krzewy, gęstymi zaroślami porastające cały ten teren. Próbowali ich po kolei, dopóki nie znaleźli takich, które smakowały lekko słodkawo. Potem szukali wszystkich innych roślin tego samego rodzaju, jakie tylko mogli znaleźć, aż w końcu nieco złagodzili swój głód.

Puste żołądki, lekko tylko zaspokojone przez ten niezbyt satysfakcjonujący posiłek, szybko wzbudziły w nich uczucie tęsknoty za domem. Do tej pory byli zainteresowani tylko tym dokąd zmierzają i rzeczami czekającymi przed nami. Teraz ich głowy zaczęły się coraz częściej zwracać w górę nurtu wody, w kierunku miejsca, w którym zostali wyrzuceni z puszek do strumienia.

Mniej więcej trzy mile w górę strumienia można było dostrzec przysadziste dachy dużej grupy budynków. Za nimi widać było iglice wysokich, smukłych budynków, sięgających wysoko w niebo. Z tej odległości wysokie iglice wyglądały niemal delikatnie. Pomiędzy budynkami rozpinały się ażurowe pajęczyny sieci, na których widać było niestrudzenie poruszające się we wszystkich kierunkach, niewielkie punkciki.

Od tej odległej scenerii uwagę chłopców oderwał, rosnący szybko w siłę świszczący odgłos, bezpośrednio nad ich głowami. Niemal w tej samej chwili, na ziemię przed nimi opadł wielki, lśniący obiekt o dziwnej konstrukcji.

Wystrzeliła z niego chmura pary, która otoczyła ich ze wszystkich stron. Wystraszeni rzucili się w stronę strumienia. Jednakże po zrobieniu zaledwie kilku kroków, upadli nieprzytomni na ziemię.

Minle-Arkle-Hupna unosił się nad biurkiem na przedzie sali lekcyjnej. Spoglądało na niego kilkuset uczniów o zróżnicowanych kształtach ciała, dostosowanych do pracy jaką każdy z nich wykonywał, aby zdobyć wykształcenie.

Wygłaszał im wykład na temat ziemskiej nauki, która została rozwinięta przez rodzimych Ziemian.

— Jak wiecie z historii — mówił — stwierdziliśmy, że kiedy przybyliśmy w to miejsce, kwitła tutaj wielka cywilizacja. Niestety, stworzenia te były zwierzętami. Wiedząc, że nigdy nie byliby w stanie stać się równymi nam, nawet z naszą pomocą, a ponadto mając świadomość, że byłoby najwyższym okrucieństwem, pozwolić im żyć jako subinteligentnym współmieszkańcom tej planety, litościwie wybiliśmy je do nogi.

— Pozwoliliśmy przeżyć tylko nieinteligentnym gatunkom. Jest ich bardzo wiele. Co większe z nich przechowywane są w naszych obszernych i wyrafinowanych ogrodach zoologicznych, częściowo do badań, a częściowo także z tego powodu, iż pewnego dnia może okazać się konieczne opuszczenie tej planety i wyruszenie dalej przez galaktykę. Wtedy te formy życia, które tak starannie zachowaliśmy, będą mogły zostać wypuszczone na wolność i znowu poruszać się tam, gdzie będą chciały.

— Wiedza naukowa rasy, którą zniszczyliśmy, była na szczęście w pełni zachowana w książkach i maszynach, tak więc w ciągu minionego tysiąclecia byliśmy w stanie obszernie ją zbadać.

— Nawet jeśli jest to najbardziej prymitywna forma nauki, oparta na głupich błędach, choćby w ich koncepcji liczb, dało nam to wiele cennych informacji, uzyskanych na drodze abstrakcyjnego porównania.

— Zdawali się oni wyrażać w liczbach pewne niejasne abstrakcyjne koncepcje, oddzielone od rzeczywistości. Liczba, jak wiecie, wywodzi się z doświadczenia. Ziemianie byli świadomi jedności, dualizmu i wielości. Głupio wyciągnęli z tego konkluzję, że te trzy rzeczy były czymś odmiennym, i kiedy mówię to wam, wygłaszam stwierdzenie oznaczające dla was coś sensownego, ale które dla nich oznaczałoby coś zupełnie niepojętego dla nas. Kiedy mówię to wam, zgadzacie się ze mną co do znaczenia moich słów i powiecie, że ich twierdzenie jest fałszywe. Gdybym mógł powiedzieć to samo Ziemianom, zakładając że nadal by żyli, stanowczo by się upierali, że ich twierdzenie jest prawdziwe. Bez wątpienia też by je „udowodnili”. Tak jak wy potraficie udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że jest fałszywe.

— Ich sposób myślenia nie był logiczny. Nawet ich logika była czymś zupełnie szalonym. Wykazywali upartą determinację by myśleć o WSZYSTKIM jako jedności, i jednocześnie jako MNOGOŚCI.

— Nie posiadamy odpowiednich słów ani pojęć do interpretacji ich błędów w racjonalny sposób. Stosowali metodę, którą opisywali przez wiele różnych zestawów liter. Jako trzy tego rodzaju słowa, wymienić można: abstrakcję, generalizację, rozdzielenie.

— Te słowa opisywały metodę analizy, która jest nie tylko w całkowitej sprzeczności do wszystkiego, co można odnaleźć w rzeczywistości, ale pozostaje także poza naszą zdolnością do jej zrozumienia.

— Przy jej pomocy udało się im zbudować równania, które są czysto fikcyjne i niewyobrażalne, oraz je rozwiązać, ale nie byliby w stanie rozwiązać nawet najbardziej elementarnych równań, takich jak my je pojmujemy.

— Pomimo prymitywizmu i błędów ich koncepcji, byli w stanie w dosyć rozsądny sposób manipulować przyrodą. Projekty ich maszyn mechanicznych i elektrycznych są niezmiernie zabawne. To, że one działały, stale jest dla nas nie mniej zabawną rzeczą.

— Na przykład — Minle-Arkle-Hupna z najwyższym wysiłkiem zachował powagę na twarzy — zbudowali powozy CZWOROKONNE, z czego DWA konie wykorzystywane były do sterowania.

Setki uczniów wybuchły niekontrolowanym śmiechem. Nauczyciel, nie mogąc się powstrzymać, przyłączył się do nich.

— Nie tylko to — wykrztusił pomiędzy spazmami śmiechu — używali silników, które wykorzystywały iskrę do wybuchu gazu w komorze o zmiennej objętości.

Przez pięć minut całe pomieszczenie huczało odbijającym się od ścian rykiem śmiechu. W końcu wybuch ucichł.

— Psychologicznie byli tak samo niespójni, jak ich nauka. Arbitralnie podzielili się na rasy, prawie całkowicie zakryli swoje ciała ponieważ się ich wstydzili, i prowadzili wojny, ponieważ myśleli ich ciała są najlepsze na Ziemi.

— Naprawdę szkoda, że nie przybyliśmy tutaj już wieki temu i nie uwolniliśmy ich od tych wszystkich nieszczęść i nędzy.

Po raz kolejny rozległ się gromki wybuch śmiechu.

Wreszcie wykład się skończył. Minle-Arkle-Hupna został odłączony i wciągnięty w centralny Umysł.

Gregory Cameron wkroczył do wielkiej komnaty najwyższej rady. Była to pierwsza godzina po porannym posiłku; godzina ćwiczeń dla młodzieży i godzina planowania całodziennej aktywności dla dorosłych.

Dla najwyższej rady, której Gregory przewodniczył, była to godzina zajmowania się nowymi sprawami i słuchania postępów w sprawach starych.

Kiedy wszedł do sali, wszyscy w niej obecni wstali i zwrócili się w jego stronę, sztywno wyprostowani na baczność, pozdrawiając go w wojskowy sposób.

Odpowiedział im również salutem i energicznie przeszedł na swoje miejsce pod przeciwległą ścianą, znajdujące się pomiędzy dwoma doradcami, a potem wszyscy w pomieszczeniu opadli w uniwersalnej pozycji siedzącej.

Rozpoczęło się poranne posiedzenie.

W pierwszym rzędzie naprzeciw Gregory'ego siedziało pięciu mężczyzn, którzy wyróżniali się spośród pozostałych zebranych w pomieszczeniu. W ich oczach zdawał się płonąć jakiś wewnętrzny, eteryczny ogień, który rozlewał się na zewnątrz i nieznacznie dotykał wszystkiego co ich otaczało. To byli telepaci.

Niemal w każdym pokoleniu pojawiał się co najmniej jeden lub dwu telepatów. Raz w ciągu minionego tysiąclecia zdarzyło się półtora wieku, kiedy nie narodził się żaden telepata. Z kolei, w innym okresie historii kolonii, ich liczba wynosiła aż pięćdziesięciu, a nauka o Łupieżcach w tym czasie posuwała się do przodu wyjątkowo szybko. Teraz było ich pięciu.

Gregory popatrzył na pierwszego z nich, którego siwiejąca broda wskazywała jako najstarszego z całej piątki. Mężczyzna wstał i zdał swój raport.

— Dziwna tajemnica umysłów Łupieżców pojawiła się ponownie w dniu wczorajszym. Umysł, który myślał o sobie jako o Berlu-Rackle-Opne przeszedł przez wszystkie oznaki śmierci: uświadomienie sobie bliskości śmierci, strach przed śmiercią, rezygnacja w ostatniej chwili i finalna fala bólu. Krótko po tym, nawiązałem kontakt z umysłem, który myślał o sobie jako o nowo uformowanym i określał się jako Berl-Rackle-Huppa.

— Jak wiecie, w każdym znanym przypadku dotyczącym tych obcych określają oni siebie nazwami, które są trój-jedne. W każdym przypadku śmierć wydaje się dotyczyć jednej z osób trój-jednego umysłu, podczas gdy dwie pozostałe wkrótce pozyskują nową, trzecią jednostkę.

— Nie nawiązano nigdy kontaktu mentalnego z pojedynczym, ani dualnym nazwanym podmiotem. W każdym przypadku śmierci, tak samo jak to miało miejsce również obecnie, nagłe zerwanie kontaktu po śmierci umysłu, wkrótce potem zastępowane było przez nowy kontakt z umysłem, który uważał sam siebie za istotę trój-jedną, przy tym dwie ze składowych były jednostkami dawnego umysłu, który umarł. Ta sprawa nie była więc jakimś wyjątkiem.

Telepata usiadł. Gregory wstał i zaczął mówić.

— To kieruje naszą uwagę na stary problem natury tych Łupieżców. Istnieje tu wiele teorii, które MOGĄ pasować do faktów. — Przerwał, a potem zaczął mówić ponownie. — Przede wszystkim, mamy teorię rasy trójpłciowej, której mózgi zbudowane są według nieznanych nam schematów, tak że żadna pojedyncza osoba nie posiada inteligencji, ale trzy z trzech różnych płci tworzą CAŁOŚĆ, która jest inteligentna. Może to być realizowane zgodnie z postulatem, że mózg każdej z płci wykonuje tylko jedną z funkcji racjonalnego umysłu. Tak więc umysł męski może posiadać tylko pamięć bez zdolności rozumowania, być zwykłym

rejestratorem mentalnym, kobieta może mieć umysł, który pamięta tylko procesy; neuter, czy jakkolwiek nazwiemy tę trzecią płeć, może być systemem rozumującym lub siedzibą wyobraźni. Wszystkie trzy istoty razem mogą funkcjonować jako umysł, podczas gdy dwie z nich są już bezużyteczne psychicznie.

— W naszej własnej rasie istnieją pewne łagodne tendencje do uwydatniania się różnych zdolności. Mamy umysły rzeczowe, które gromadzą ogromne ilości danych. Mamy umysły procesowe, które nie pamiętają danych ale mogą z łatwością uogólniać je i koordynować, kiedy takie dane zostaną im przedstawione. Wreszcie mamy tak zwane umysły genialne, zdolne do porządkowania i rozwijania pola wiedzy, która wynika z tych danych, oraz do formalnych operacji mentalnych, nie przejmując się kwestią trwałego zachowania danych w umyśle. Odkryliśmy, że zespoły złożone z tych trzech typów mentalnych osiągają więcej, niż jakiekolwiek inne grupy myślących.

— Tak więc, to jest teoria, która wydaje się najlepiej pasować do faktów. Po prostu uwypuklając tylko tendencje występujące w naszej własnej rasie, do ich logicznego ekstremum, możemy wyjaśnić istnienie trój-jednego umysłu Obcych. Są jednak pewne drobne kwestie które zdają się świadczyć przeciwko niej. Największym dowodem przeciwko jest fakt, że DOWOLNE trzy jednostki Obcych stanowią umysł. Zestawiliśmy zgony i nowe skojarzenia Obcych umysłów i stwierdziłem, że tak właśnie jest. To obala teorię specjalizacji zdolności umysłowych u jednej istoty tej rasy.

— Ważną wskazówkę znajdujemy w ich arytmetyce. Dla nich trzy, nie jest to trójca, lecz super jedność, o ile jesteśmy w stanie to pojąć. Liczby całkowite nie dążą u nich do nieskończoności, ale zapadają się z powrotem w coraz większe jednostki. Obcy nie posiadają koncepcji nieskończoności w matematyce ani filozofii, tak samo jak nie posiadają koncepcji trójki jako trzech jednostek.

— Tak samo jak u nas rozwinął się system dziesiętny, ponieważ mamy dziesięć palców, ich system liczbowy rozwinął się w specyficzny dla nich sposób, ponieważ u nich trzy mózgi łączą swoje zdolności, aby stać się jednym umysłem. Dlaczego tak się stało, jeszcze nie wiemy. Z pewnością trzy kamienie nie mogą się połączyć, aby stać się jedną skałą. Natura ich umysłów nie jest w stanie sprawić, by materia nieożywiona zachowywała się inaczej w ich obecności, niż naszej.

— Jest to coś, co pozostaje tuż poza naszym zasięgiem. Mam nadzieję, że wiedza ta nie jest zupełnie poza naszą zdolnością pojmowania, ponieważ wszyscy się chyba zgodzimy, że jeśli nasza rasa ma kiedykolwiek odzyskać władzę nad naszą własną, ojczystą planetą, musimy najpierw dobrze zrozumieć tę rasę Obcych i opanować ich wiedzę naukową.

Gregory usiadł gwałtownie i skinął głową na drugiego telepatę. Ten z kolei, był bardzo młody — miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Niedawno został przyjęty do najwyższej rady.

— Jak wiecie — rozpoczął przepraszającym tonem, — podjąłem próbę realizacji eksperymentów zmierzających do przejęcia kontroli nad jednym z tych Łupieżców. Jak dotąd moje sukcesy były dosyć sporadyczne, z

powodu jakiegoś czynnika wykraczającego poza moją obecną wiedzę. Wczoraj wstępnie wyeliminowałem strach jako czynnik powstrzymujący, w moim umyśle. Pomimo tego, że byłem śmiertelnego przerażony, przez kilka minut potrafiłem rozkazywać Obcemu o nazwie Abu-Sona-Becah. Podczas kontaktu moje ciało pociło się mocno i gwałtownie trzęsło. Sugeruję hipnotyczną analizę moich wspomnień i koordynację z poprzednimi danymi.

Usiadł. Gregory spojrzał na głównego hipnotyzera i skinął głową na zgodę. Propozycja została przyjęta.

Wstał trzeci telepata. Jego raport dotyczył wydarzeń jakie miały miejsce na zewnątrz.

— Wczorajsze przekazy wiadomości — zaczął raport — nie przyniosły niczego zaskakującego. Zbliżają się wybory i wydaje się prawdopodobne Rada-Pro-Amu ponownie zostanie wybrany na prezydenta świata. Jego program wyborczy polega na wprowadzeniu ustawodawstwa antymonopolowego i zniesieniu cenzury kryminalnej w wiadomościach. Jak wiecie, w zeszłym roku miał również taki sam program, i jak dotąd ciało rządzące nie pozwoliło mu nawet na wystąpienie, z wyjątkiem rutynowego przemówienia otwierającego, na każdej comiesięcznej sesji.

— Przewodniczący posiedzenia rady rządzącej jest losowany przed każdym spotkaniem, ale całe ciało rządzące wydaje się być zjednoczone przeciwko Radzie-Pro-Amu, pomimo tego że ludzie są za nim. A ludzie wydają się mieć już troszeczkę dosyć tej sytuacji ciągłego wybierania go na prezydenta i wybierania gubernatorów, którzy są przeciwko niemu.

Usiadł z szerokim uśmiechem na twarzy. Cichy chichot przeszedł po sali.

Jako ostatni dwaj telepaci złożyli swoje raporty, dotyczące postępu technicznego w nauce Łupieżców.

Po raportach pięciu telepatów przyszła kolej na raporty o lokalnych wydarzeniach w Kolonii. Potem posiedzenie zostało przerwane, a członkowie rady rozeszli się do różnych sal lekcyjnych, w których nauczali oni członków rad niższego szczebla.

ROZDZIAŁ III

Mdlące uczucie na dnie żołądka, przywróciło nagle Geralda Nolana do świadomości. Chociaż nie zdawał sobie z tego sprawy, uczucie to było spowodowane szybkim zejściem w dół helikoptera, którym był przewożony on, oraz jego dwaj towarzysze.

Spojrzenie otwartych oczu chłopca, napotykało jedynie na gładkie, lśniące ściany z białego, szklistego materiału, w którym byli uwięzieni. Chwilę później obudzili się również Jimmy i Arthur.

Jednocześnie poczuli lekkie uderzenie i niesłyszalna wibracja otaczającego ich pomieszczenia, ustała.

Arthur zaczął cicho płakać. Gerald i Jimmy odrobinę pociągali nosami, ale potem popatrzyli na siebie z zakłopotaniem i przestali

— Nie płacz, Art — powiedział Gerald, poklepując niezdarnie swojego towarzysza. Płacz Arta przeszedł w pociąganie nosem, które z kolei zmieniło się w ciche pojękiwania. W końcu odzyskał kontrolę nad sobą.

— Jak myślicie, co oni z nami zrobią? — spytał ze strachem.

— Jezu, nie wiem — odpowiedział mu Jimmy. — Chyba nie myślisz, że oni jedzą ludzi?

— Nie — stwierdził z obrzydzeniem Gerald. — W każdym razie, gdyby mnie zjedli, stanąłbym im kością w gardle! — I groźny wyraz jego twarzy potwierdził, że dopilnowałby tego, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką by zrobił w życiu.

— Zastanawiam się, jak oni wyglądają — powiedział Jimmy.

— Rany! Nawet nie mieliśmy okazji żeby im się przyjrzeć, kiedy nas złapali, co nie? — zawołał Gerald.

— Ja to zrobiłem — dumnie oznajmił Arthur. — Wyglądali dokładnie tak jak my, tylko mieli nosy, które były takie długie jak moje ramiona. — Starał się to zilustrować, przygarbiając się, składając ramiona razem tak bardzo jak tylko mógł i udając że zwisają mu one z twarzy.

— A oczy mieli na całą twarz! — opowiadał dalej. — I mieli mnóstwo ramion – chyba ze sto!

— Czy ty musisz przez cały czas kłamać? — zawołał Jimmy.

— Ja nie kłamię! — powiedział Arthur z oburzeniem. — Oni musieli mieć ze sto ramion. Może nawet tysiąc. I byli mali. Nie więksi od nas.

— I znowu kłamiesz — upierał się Jimmy. — Nikt nie mógłby tak wyglądać.

— Nie kłamię! — oświadczył Arthur, podkreślając swoją uwagę gwałtownym zamachem, generalnie w kierunku nosa Jimmy’ego. Cios wylądował na ramieniu, wytrącając Jimmy'ego z równowagi. Poleciał do

tyłu, aby wylądować w pozycji siedzącej opierając się o zakrzywioną ścianę boczną ich niewielkiego więzienia.

Ze złością wstał, opuścił głowę i zaczął dziko wymachiwać pięściami, podążając w stronę Arthura. Jedna z jego pięści wylądowała na nosie Arthura. Po chwili obaj byli już sczepieni razem, z nosa Arthura wypływał czerwony strumień, który rozmazywał się na obydwu z nich, kiedy przetaczali się w tą i z powrotem, niezdarnie się siłując.

Gerald podskakiwał w górę i w dół, dopingując ich z podekscytowaniem. Z kłębowiska ciał wysunęła się ręka i sięgnęła do nosa Jimmy'ego, zaciskając się na nim i wykręcając go. Z okrzykiem bólu Jimmy próbował się oderwać. Arthur przywarł do niego.

Upadli na podłogę i przetaczali się we wszystkie strony, żaden z nich nie był w stanie uzyskać przewagi nad drugim. Wreszcie, dysząc z wysiłku, rozdzielili się jednym, wspólnym ruchem i siedzieli na podłodze patrząc na siebie.

— Tak! — powiedział Jimmy bez tchu.

— Nie! — upierał się Arthur, równie pozbawiony tchu.

Przez chwilę wpatrywali się w siebie groźnie, nos Arthura wciąż lekko krwawił, czerwone smugi widoczne były na ciałach ich obu. Potem, spontanicznie uśmiechnęli się do siebie.

Podnosząc się na nogi, uścisnęli sobie dłonie, Arthur otarł nos ręką i pozostawił na niej kolejny szeroki czerwony ślad.

— Niech to diabli! — powiedział Gerald z udawanym rozczarowaniem. — A ja chciałem przywalić zwycięzcy.

Jimmy i Arthur popatrzyli na siebie z oburzeniem, a potem skoczyli na Geralda, spychając go na podłogę, gdzie przytrzymali go, ciągnąc go za nos, i wycierając zakrwawione ręce w jego twarz, podczas gdy on szarpał się i groził im straszną zemstą, jeśli nie pozwolą mu wstać.

— **S**trasznie zawzięte stwory, nieprawdaż! — zawołał Dak-Bag-Gon zdenerwowany na widok takiej zaciekłej walki.

— Niebezpieczne! — dodał Ban-Con-Kah, wzdrygając się.

Obaj stali koło swojego śmigłowca, obserwując walkę przez jego przezroczyste (dla nich) ściany.

— Początkowo myślałem, że spróbuję może je oswoić i trzymać jako zwierzęta domowe — z żalem stwierdził Dak-Bag-Gon. — Ale teraz widzę, że byłyby to zbyt niebezpieczne. Jasne, że na pewno uciekły z zoo, najlepiej więc będzie oddać je do departamentu parków, żeby z powrotem je zamknęli, razem z resztą.

— Dziwnie wyglądają te zwierzęta, co? — zauważył Ban-Con-Kah. — Pewnego dnia muszę chyba wybrać się do zoo i obejrzeć sobie te wszystkie miejscowe stworzenia. Mówią, że to nie lada gratka. Do jakiego gatunku należą te? Masz jakieś pojęcie?

— Tylko mgliste — rzucił beztrosko Dak-Bag-Gon. — Widziałem ich zdjęcia, w rozdziale o naczelnych, w przewodniku po zoo, który gdzieś kiedyś dostałem. Te większe są pokryte gęstymi wyrostkami, niemalże

powszechnymi pośród stałocieplnych rodzajów tych stworzeń. W pewnym sensie, mają one swoje funkcjonalne zastosowanie. Działają jako izolacja zabezpieczająca przed nagłymi zmianami temperatury, pozwalając na automatyczne generowanie ciepła w ich ciałach w celu stopniowego jego dostosowania, aby stworzenia te mogły przez cały czas utrzymać w ciele tę samą temperaturę.

— Zastanawiam się, jak one uciekły? — powiedział zamyślony Ban-Con-Kah.

— Och, to dosyć proste — odpowiedział Dak-Bag-Gon. — Znaleźliśmy je na brzegu rzeki, pod zoo. Niewątpliwie ukryły się w puszkach ze śmieciami i nikt nie zauważył, że dziś rano zostały wyrzucone razem z ich zawartością.

Obrzuciwszy ostatnim zafascynowanym spojrzeniem trzy dzikie stworzenia uwięzione w bagażniku helikoptera, dwóch Łupieżców odwróciło się plecami do statku i ruszyło do budynku żeby zadzwonić do departamentu parków, z prośbą by przysłano tutaj kogoś z klatką.

Pół godziny później wrócili, prowadząc ze sobą kilkuosobową grupę Łupieżców, którzy przybyli w odpowiedzi na ich telefon.

Jeden z nich, wysoki, smukły stwór, z czterema, wężowymi ramionami zakończonymi masą wijących się, podobnych do palców wyrostków, popędził pośpiesznie do przodu na brzuchu, perystaltycznym rytmem.

— O mój Boże! — wykrzyknął. — Cieszę się, że je znaleźliście, zanim zrobiły sobie krzywdę. Należą do najrzadszych ze wszystkich miejscowych gatunków. Większość naszej energii poświęcamy na utrzymywanie ich przy życiu, a ich utrata byłaby dla nas strasznym ciosem.

— Czyli są takie rzadkie? — spytał Dak-Bag-Gon, zadowolony ze swej zdobyczy.

— O tak, naprawdę! — zawołał urzędnik parku. — O ile dobrze pamiętam, wasza nagroda wyniesie więcej niż moglibyście zarobić w całym swym życiu. Oczywiście, otrzymacie nagrodę równą szacunkowej wartości całego tego zestawu.

— Ile z nich jeszcze istnieje? — zapytał Ban-Con-Kah, zerkając lękliwie na trzy stworzenia w pojeździe.

— Tylko około pięciuset[1] — odparł urzędnik. — Na całym świecie pozostała już tylko grupa, którą mamy w naszym ogrodzie zoologicznym.

Ban-Con-Kah i Dak-Bag-Gon zwinęli swe długie, smukłe nosy z zaskoczenia.

W czasie kiedy miała miejsce ta wymiana zdań, pracownicy przystawili do otworu bagażnika przezroczystą skrzynię i otworzyli jej odsuwane do góry zamknięcie. Potem jeden z nich nacisnął przycisk z boku pojazdu, który otworzył bagażnik, w którym trójka chłopców siedziała nieświadoma tego, co się wokół nich działo.

Po usłyszeniu odgłosu otwieranej klapy, Gerald szybko uniósł głowę. Popatrzył na swoich towarzyszy, zaintrygowany widokiem znajdującej się na zewnątrz skrzyni.

[1] Podane zostało tutaj ludzkie pojęcie liczbowe, ponieważ liczba Łupieżców jest dla nas niemożliwa do zrozumienia (przyp. red.)

— Chcą, żebyśmy przeszli do tej skrzyni — powiedział. — Może lepiej ich posłuchajmy, bo jeszcze zrobią nam coś złego.

Widząc kiwające na zgodę głowy Jimmy'ego i Arta, przeszedł z obawą przez przejście do skrzyni. Kiedy nic mu się nie stało, pozostała dwójka podążyła za nim. Gdy wszyscy trzej znaleźli się w skrzyni, wejście do niej się zamknęło.

Potem skrzynię wypełniło dudnienie i wibracje, których doświadczyli wcześniej tego ranka, w pojemnikach na śmieci. Na chwilę ustały one, zastąpione niemal natychmiast przez wywołujące mdłości uczucie zapadania się w żołądku, trwające przez kilka minut. Kiedy ono ustało, powróciło dudnienie i wibracja.

W końcu skrzynia ostro się przechyliła, po czym wyrównała ponownie, i wibracje ustały. Dalej czuli już tylko utrzymujące się przez cały czas, stałe, spokojne, kołysanie.

Trójka zmęczonych chłopców, zasnęła.

Kiedy pani Noland obudziła się i zobaczyła że Geralda nie ma w domu, w pierwszej chwili poczuła tylko ulgę, iż nie nahałasował i nie obudził innych. „Na pewno” — pomyślała sobie, „poszedł trochę popływać przed śniadaniem”.

Kiedy nie zobaczyła go w jadalni, pomyślała: „Z pewnością zjadł już i wrócił, żeby jeszcze trochę popływać.”

Dopiero kiedy nauczyciel najmłodszej grupy przysłał posłańca, aby dowiedzieć się czy Gerald jest chory, wzbudziło to w niej niepokój. Jej pierwszą myślą było to, że mógł utonąć w basenie i nikt tego nie zauważył.

Biegnąc najszybciej jak mogła, wpadła na basen, a potem zanurkowała w nim przeszukując gorączkowo w dno, z przerażeniem spodziewając się w każdej chwili strasznego widoku martwego ciała. Do tego czasu na basen przybiegły i także zaczęły w nim nurkować, pani Graham i pani Smith. Dołączyły one do niej, również w efekcie wizyty posłańców ze szkoły. We trójkę szybko się upewniły, że w basenie nie ma śladu ich chłopców.

Doszły więc do wniosku, że chłopcy urwali się ze szkoły na wagary. Ponieważ zawsze trzymali się we trzech, było raczej pewne że teraz też są razem, gdzieś się ukrywając.

Do poszukiwań przyłączyły się inne osoby. Do południa każdy cal kwadratowy kolonii został przeszukany i nie znaleziono nawet śladu trzech zaginionych chłopców. Jedno spojrzenie wystarczyło, by upewnić się, że chłopcy nie prześlizgnęli się koło strażnika przy wejściu na „wybieg” — dziesięć akrów pustej przestrzeni, otoczonej i przykrytej szklistym, białym materiałem, który jak wiedzieli był przezroczysty dla Łupieżców i przez niego obserwowali ich obcy odwiedzający zoo.

Niewiarygodne, ale poszukujący zmuszeni byli przyznać, że trójka chłopców zniknęła, jakby się zapadła pod ziemię.

Aby omówić tę sprawę zwołano specjalne posiedzenie najwyższej rady. Szalały najdziksze spekulacje. Wielu podekscytowanych prelegentów uparcie twierdziło, że to Łupieżcy zabrali chłopców do celów eksperymentalnych.

Kiedy wskazywano im, że tej praktyki kosmici zaprzestali już wieki temu, odpowiadali tylko, że przecież nie ma takiego prawa które by zapobiegało jej wznowieniu.

Zaczynało już się wyczuwać lekką panikę. Gdyby Łupieżcy rozpoczęli ponownie eksperymenty, nikt nie mógłby spać spokojnie. Ludzie straciliby zainteresowanie postępem naukowym i gromadziliby się tylko wystraszeni, mając nadzieję, że w większych grupach będą bardziej bezpieczni.

Mężczyźni snuli się wszędzie z ponurymi minami, wyglądającymi spod ich bród. Kobiety zbierały się w małych grupkach, łkając i rozpaczliwie tuląc do siebie dzieci, tak jakby to one miały pójść jako następne, w kolejnych dniach, starając się je ochronić zanim niebezpieczeństwo nie przejdzie ponownie do historii.

Popołudniowe zajęcia zostały odwołane. Mężczyźni i starsi chłopcy zebrali się razem, omawiając sposoby i środki działania, a jednocześnie grożąc Łupieżcom jakiegoś rodzaju odwetem.

I wtedy, gdy zbliżał się już czas na wieczorny posiłek, głównym korytarzem przebiegł nagle podekscytowany pracownik kuchenny, krzycząc że chłopcy wrócili i że znaleźli się w śmietniku.

Biegnący kucharz zatrzymał się przed Gregory Cameronem, przewodniczącym najwyższej rady i opowiedział, co zobaczył.

— Pomieszczenie na śmieci — wysapał z podnieceniem. — Usłyszeliśmy odgłos zasuwających się drzwi z korytarza. Kiedy ponownie się otworzyły, zobaczyliśmy George'a, który akurat był tam w środku, jak leży nieprzytomny na podłodze. Zagazowali go. Są tam też wszyscy trzej chłopcy, cali we krwi — i prawdopodobnie umierają!

Zrobił się powszechny ruch, żeby biec w stronę śmietnika, ale natychmiast został on zatrzymany krzykiem przez Gregory’ego, który nakazał ludziom aby pozostali na miejscu. Następnie on i inni członkowie rady szybko przeszli przez tłum i ruszyli w kierunku pomieszczenia, w którym ponoć leżeli i „cierpieli” trzej „umierający” chłopcy.

Cierpieć może i trochę cierpieli, ale tylko udręki oczekiwania na spodziewaną karę. Gregory jako pierwszy dotarł do wejścia do pomieszczenia śmietnika. Jego wzrok zmierzył leżącego nieprzytomnego pracownika kuchennego, który zaczynał się już poruszać. Potem popatrzył na obszarpane, zakrwawione postacie trzech chłopców, z winą wypisaną na twarzach, które na jego widok zwrócili w jego stronę.

Ich wygląd był tak śmieszny, że zachichotał z ulgą i rozbawieniem. W następnej chwili poczuł że coś go odpycha na bok i minęły go trzy kobiety, które złapały chłopców w ramiona i mocno zaczęły tulić, całując ich brudne i poplamione krwią twarze.

Trzem kobietom nie zajęło jednak zbyt dużo czasu, aby się upewnić, że żadnemu z ich synów nic poważnego się nie stało. Zaraz gdy tylko rozwiały się ich troski, macierzyńskie pieszczoty nagle się skończyły.

Pani Noland zdusiła żałosne łkanie gdzieś w głębi piersi i zmieniła swój czuły uścisk, na mocny uchwyt na prawym uchu Geralda.

— Gdzie ty się włóczyłeś? — zapytała ze złością. — To było coś tak okropnego, że zostaniesz ukarany przez najwyższą radę. Och, pomyśleć tylko, że mój syn okaże się jednym z największych łobuzów w historii!

Świadomość ogromu czynu, jaki popełnił jej syn, było to dla niej zbyt wiele. Zapomniane ucho wyślizgnęło się z jej palców, kiedy upadła na podłogę, żałośnie szlochając. Pozostałe dwie kobiety przeszły tę samą metamorfozę stanu umysłu.

Po raz kolejny trzej chłopcy zebrali się w żałosne trio, bojąc się unieść głowy i popatrzeć w stronę zebranego przy drzwiach wejściowych tłumu.

Gregory Cameron po tym jak trzy kobiety minęły go, stał milcząc. Jego dwaj doradcy stali tuż za nim. Teraz jeden z nich szepnął mu coś do ucha. Skinął głową.

Doradca odwrócił się i wydał przyciszonym głosem jakiś rozkaz. Trzech członków najwyższej rady wkroczyło do pomieszczenia i każdy z nich chwycił jednego z młodych ludzi za ramię.

Tłum rozstąpił się, aby zrobić miejsce dla trzech mężczyzn ciągnących chłopców. Gregory i jego obaj doradcy udali się za nimi, a potem ruszyli jeden po drugim w procesji kolejni członkowie najwyższej rady.

W krótkim czasie rada zebrała się na sesji i trzem chłopcom surowo nakazano opowiedzieć swoją historię. Stopniowo udało się ją z nich wydobyć. Arthur nadal upierał się, że widział jednego z Łupieżców. Wypytywany dokładnie, powiedział:

— Spałem, ale moje oczy były otwarte. Wyszedł z tego, co spadło z nieba i zabrał nas. Najpierw wziął mnie, i potem nie pamiętam już niczego, aż do czasu kiedy się obudziłem.

— Czy był tylko jeden? — zapytał Gregory.

— Tylko jeden — powtórzył Arthur.

Jimmy był teraz za bardzo przepełniony lękiem przed wyimaginowanymi karami, aby wpadł mu do głowy pomysł oskarżenia Arthura o kłamstwo.

Rada poleciła, by wszyscy trzej chłopcy powtórzyli swoje historie, i zadała im potem niezliczone pytania. Pięciu telepatów milczało, sondując umysły chłopców w poszukiwaniu każdego niuansu myślowego.

Wreszcie posłano po ojców chłopców. Kazano im uważnie obserwować synów i przyprowadzić ich do sali obrad po porannych ćwiczeniach.

Ze srogimi obliczami, ojcowie wyprowadzili swoich skruszonych potomków. Potem wstał Gregory.

— Po raz pierwszy w historii — oznajmił ze spokojnym uśmiechem, — mamy relację naocznego świadka odnośnie wyglądu któregoś z Łupieżców. Musimy ukarać tych chłopców, tak by nikt z pozostałych nie był na tyle nieroztropny, aby spróbować tego samego co oni zrobili. Potem jednak należy poddać ich specjalnej opiece i kształcić na przyszłych przywódców. Takiego kalibru młodzieńcy nie pojawili się wśród nas, już od wielu pokoleń.

Odpowiedzą były poważne skinienia aprobaty.

— Nowe dane do badania natury Łupieżców! — mówił dalej Gregory. — Będziemy musieli to wszystko przestudiować i wymieć myśli na ten temat. Pojawią się też dodatkowe dane z raportów telepatów, odnośnie skutków tej ucieczki wśród Łupieżców. Może się okazać, że wszystkie nasze środki ostrożności aby trzymać młodzież z dala od wybiegu, okażą się na nic. Nasza dalsza egzystencja zależy od wiary Łupieżców w to, że jesteśmy tylko bezrozumnymi zwierzętami.

— Zawsze starannie szkoliliśmy nastolatków w zakresie właściwego sposobu zachowania się na wybiegu, aby Pogromcy uważali nas za gałąź naczelnych, a nie istoty na dużo wyższym poziomie niż małpy i pawiany. Nie zdają sobie sprawy z ciągłego szpiegowania ich przez telepatów. Nasza mowa znajduje się w zakresie ich słuchu, z wyjątkiem szeptu, ale niewątpliwie brzmi ona w ich uszach, jak prymitywne, zwierzęce odgłosy.

— Bardzo wątpię, czy przypiszą ucieczkę chłopców czemuś więcej niż małpiemu sprytowi. Z historii, którą opowiadali o swoich przygodach wątpię, aby sprawili wrażenie że są czymś więcej niż tylko kłótliwymi zwierzętami.

— Chyba teraz odroczymy posiedzenie do kolacji, a potem się spotkamy tutaj na wieczorną sesję. Dzięki temu nasze szare komórki będą miały czas żeby trochę popracować i dyskusja będzie bardziej owocna.

Powszechny ruch w stronę drzwi wskazywał, że rada jednomyślnie zgadza się z tą propozycją.

Dak-Bag-Gon i Ban-Con-Kah z ekscytacją przepulsowywali sobie drogę przez tłumy bezczynnych gapiów w zoo, z przewodnikami otwartymi na stronie poświęconej naczelnym. Zwalniali przy każdym rozgałęzieniu drogi i uważnie czytali znaki, żeby się nie zgubić.

W końcu dotarli do gigantycznej kopuły z przezroczystego szkła, przykrywającej wybieg brodatych małp.

— Tutaj są! — wykrzyknął ochoczo Dak-Bag-Gon.

Obaj przepchnęli się tak blisko ściany bocznej kopuły, jak tylko mogli. Po drugiej stronie rozciągał się teren o powierzchni dziesięciu akrów, położony na poziomie około dziesięć stóp poniżej ścieżki, na której stali.

W odległości około pięćdziesięciu stóp, widać było grupę długobrodych zwierząt.

Większość z nich siedziała, ze stopami opartymi o ziemię, na wpół śpiąc. Jeden z osobników z poważną miną przeszukiwał sobie brodę i skórę na głowie w poszukiwaniu pcheł. Od czasu do czasu widać było jak jakąś znajduje, a potem zjada ją z dużym smakiem.

Samice miały twarze bez zarostu, ale rosnące im na głowach włosy nisko opadały, przykrywając większość ich ciała.

Dwóch Łupieżców przyglądało się temu wszystkiemu z fascynacją.

Wreszcie jedno ze stworzeń podniosło się z zadu i ruszyło niezdarnym chodem, co chwila podpierając się rękoma aby pomóc swemu ciału.

Kiedy znalazło się tylko dwanaście stóp od dwójki obserwatorów spojrzało w ich kierunku i otworzyło usta, odsłaniając pożółkłe kły. Potem

uderzyło się owłosionymi pięściami w pierś, obejrzało się na grupę, którą przed chwilą opuściło, i usiadło, z małymi, paciorkowatymi oczkami wpatrującymi się w nich uważnie.

Ban-Con-Kah wzdrygnął się.

— Wyobraź sobie, że jedna z tych bestii obejmuje cię swymi łapskami — powiedział.

— Wielkie z nich bydlaki, co nie! — skomentował jego słowa Dak-Bag-Gon. — Dobrze, że te które złapałem, były młode. Wątpię, czy dałbym radę podnieść dorosłego osobnika i wsadzić go do bagażnika mojego helikoptera.

Jakby na jakiś sygnał wszystkie stworzenia na wybiegu ruszyły w stronę ciemnego otworu, prowadzącego do wnętrza ogromnej kryjówki tworzonej przez tylną ścianę wybiegu. W chwilę potem wybieg był już pusty.

— Pewnie czas karmienia — powiedział Dak-Bag-Gon. — Chodźmy obejrzeć sobie jakieś inne naczelne.

Dwaj Łupieżcy ruszyli do następnego wybiegu. Odchodząc, przeczytali co mówi przewodnik na temat stworzeń, którym właśnie się przyglądali. Przewodnik głosił:

„BIAŁOSKÓRE, BRODATE NACZELNE: Niezwykle rzadkie. Szkielet podobny do „cywilizowanego” gatunku, a samice niemal identyczne. Samiec odróżnia się od rasy wyższej przez gęsty, krzaczasty zarost na twarzy.

Po naszym przybyciu, na wolności nie znaleziono żadnego egzemplarza. Wszystkie były zamknięte w dużej klatce o wysokich ścianach. Najwyraźniej młode były wykorzystywane przez rasę dominującą jako pożywienie ponieważ nie znaleziono żadnego z nich.

Najwyraźniej pewna ich liczba krzyżowała się z rasą dominującą, ponieważ niektóre osobniki z rasy dominującej zostały znalezione z krzaczastym zarostem na twarzy i różniły się od tych zwierząt tylko odzieżą i cywilizowanym otoczeniem.

Żadnych artefaktów. Brak dowodów na inteligencję. Niebezpiecznie silne, ale rzadko kłótliwe. Infra-wokalne, z infra słuchem i wzrokiem. Brak pon-pon-pon.”

Najwyższa Rada była właśnie w trakcie kolejnej sesji. W tej chwili, jednak, nikt nie przemawiał.

W sali panowała cisza, nie licząc spokojnych oddechów członków rady i sporadycznych odgłosów taktownej czkawki, w chwilach gdy czyjeś soki żołądkowe przeprowadziły inwazję na marchew, kapustę i surowe jaja, tworzące większą część wieczornego posiłku. Wreszcie wstał Gregory Cameron.

— Nie wydaje się, aby ktokolwiek był w tej chwili zainteresowany zabraniem głosu — powiedział, — chyba więc nikt nie doszedł do żadnych nowych, zaskakujących konkluzji. Ewidentnie mamy dwa nowe, istotne fakty, które należy dodać do naszego zbioru danych. Po pierwsze, wygląda

na to, że Łupieżcy posiadają ciała fizyczne; po drugie, trój-jedny umysł Łupieżcy wydaje się mieścić tylko w jednym ciele, podobnie jak nasz własny.

— Zobaczmy, jak to się składa z tym, co wiedzieliśmy już wcześniej. Kiedy Łupieżca umiera, tylko jedna z jego potrójnych istot zdaje się umierać, podczas gdy inne stają się dwiema trzecimi nowej tożsamości. Każda pojedyncza jednostka umysłu Łupieżców w końcu umiera, po tym jak tworzyła wcześniej jedną trzecią kilku kolejnych umysłów.

— Nie ma przy tym żadnej ustalonej reguły. Jednostka oznaczona na przykład imieniem Ga, może stać się częścią nawet piętnastu czy też dwudziestu kolejnych umysłów, podczas gdy inna może pojawić się tylko raz i potem zniknąć.

— Dane na temat bardziej stałej wartości I.Q. poszczególnych jednostek, nie mają sensu. I jest wielce prawdopodobne, że norma I.Q. dla Łupieżców jest dużo niższa niż nasza własna – biorąc pod uwagę wszystkie znane nam fakty.

— Nie mamy danych na temat reprodukcji Łupieżców, ale przyjmuje się, że połączenie pary z singlem, które powołuje do życia trój-jedny umysł, jest w jakiś sposób związane z narodzinami pojedynczego, fizycznego organizmu, który, jak w tej chwili wydaje się już pewne, jest właśnie istotą z rasy Łupieżców.

— Kontakt między trzema częściami Łupieżcy, z pewnością nie ma charakteru telepatycznego. Albo jest on fizyczny, albo stanowi właściwość tego nieznanego posiadanego przez nich zmysłu, którego natury nie byliśmy w stanie jak dotąd pojąć.

— Łupieżcy posiadają pamięć dziedziczną, albo pamięć pary jest natychmiast przenoszona do nowej jednostki bez pomocy transmisji telepatycznej, ponieważ nigdy w naszych badaniach nie wykryliśmy by jakiś określony osobnik studiował wcześniej pozyskaną przez Łupieżców wiedzę. Edukacja wśród nich polega wyłącznie na zdobywaniu przez nich nowo odkrytych faktów i informacji o bieżących wydarzeniach.

Gregory rozejrzał się dokoła z pytaniem w oczach.

— Czy ktoś ma jeszcze cokolwiek do dodania? — zapytał.

Jeden z członków rady wstał.

— Biorąc pod uwagę to, że ich ciała są bardzo złożone — powiedział — oraz fakt że nie są nieśmiertelni, wydaje się pewne, że nie rozmnażają się przez podział. Muszą więc rozmnażać się składając jaja, ponieważ nigdy nie wykryliśmy u nich nawet śladu koncepcji, że ktoś myśli o sobie iż wkrótce ma dać nowe życie.

— No, nie wiem — powiedział Gregory, marszcząc brwi. — Należy pamiętać, że w naszych kontaktach telepatycznych istnieją duże luki. Nie jesteśmy PEWNI nawet tego, że single lub pary nie mogą jakoś funkcjonować pod względem umysłowym. Być może są w stanie to robić, a nawet jeśli nie, reprodukcja może się dokonywać w ciałach Łupieżców na jakimś etapie, na których ich trój-jedny umysł jeszcze nie jest scalony.

Wstał inny z członków rady.

— Coś innego — powiedział energicznie. — Doszliśmy do wniosku – albo raczej wnioski te zostały opracowane przez nas już wiele pokoleń

temu, że ponowne pojawianie się jednostek, które mają takie same nazwy identyfikujące, jak te które już kiedyś wcześniej umarły, następowało po tak długim czasie iż spowodowane to było po prostu ponownym użyciem starych identyfikatorów. Może jestem w błędzie, ale czy nie otwiera się przed nami cały nowy obszar rozważań prowadzący w kierunku nieśmiertelności jednostek i ciągłych ich przetasowań, produkujących nowe funkcjonujące umysły!

Pomysł ten wywołał pomruk podniecenia. Mówca, zachęcony nim, kontynuował swoje rozważania.

— Gdybyśmy założyli, że EGO lub świadomość własnego JA Łupieżcy, w jakiś sposób jest trój-jednym związkiem, to wówczas strach przed śmiercią i fakt nieuchronności śmierci byłby bardzo żywy, ponieważ rozpad trójcy stanowiłby koniec EGO, ale nie wiedzy zawartej w jednostce, ani zdolności rozumowania, którą każda z nich posiada!

— I znów dochodzimy do problemu tego dziwnego zapadania się trzy w JEDEN, które widoczne jest w ich arytmetyce i wydaje się nieuchwytnym kluczem do zrozumienia Łupieżców — wtrącił w tym miejscu Gregory.

W tym momencie milcząco wstał jeden z mężczyzn z tylnych rzędów. Wszystkie oczy się zwróciły się z szacunkiem w jego stronę. Był przywódcą ludzkich encyklopedii. Jego wysokie czoło było gładkie i białe. Pod tą spokojną fasadą mieściły się miliony precyzyjnych faktów.

Rzadko kiedy się odzywał, ale zawsze uważnie słuchał i porządkował wszystkie fakty, które wpływały do jego umysłu.

— Właśnie przyszła mi do głowy pewna myśl — powiedział spokojnie. — Starożytna chrześcijańska koncepcja Najwyższej Istoty opisywała ją jako trój-jedną istotę, zwaną Ojcem, Synem i Duchem Świętym. Ojciec był Bóstwem i Stwórcą. Syn był duchem, który mógłby uosabiać boskość w śmiertelniku. Duch Święty był niejasno zdefiniowany, ale ogólnie uznawany był za uniwersalnego Ducha lub Elan, przenikającego cały wszechświat. We wczesnym chrześcijaństwie Ojciec uważany był za istotę ludzką o Boskiej posturze, noszącą długą, kędzierzawą brodę i prawdziwego ojca istoty-Syna, wcielonego w Chrystusa, który zstąpił aby wziąć na swe barki ludzkie grzechy i interweniować w celu zbawienia ludzkości.

Usiadł nie wyrażając żadnej własnej opinii na temat faktów, które właśnie przed chwilą przytoczył.

— Tak się zastanawiam! — powiedział ze zdumieniem Gregory. — Czy to możliwe, by któryś z Łupieżców przybył kiedyś na Ziemię jako wysunięty zwiadowca i spędził na niej trochę czasu, zaznajamiając się z ciemnymi ludźmi z dawnych wieków? Wyczuwając telepatycznie jego naturę, mogli go ubóstwić; zaś ich legendy, przekazywane niedokładnie w ustnej postaci, mogły w końcu zmienić go w umysłach przekazujących, w Najwyższe Bóstwo, trój-jedną istotę! Przypomnijmy sobie Gniew Boży, jego gromy i błyskawice, jego wyroki i błogosławieństwa. W tych starożytnych zniekształconych opowieściach, które ostatecznie stały się podstawą naszej własnej religii, możemy mieć wskazówki, jakie są nam potrzebne!

— Już prawie nadszedł czas na gaszenie światła — zakończył. — Sugeruję, żebyśmy wszyscy sobie dobrze przemyśleli te sprawy. A tymczasem — skłonił się z szacunkiem w stronę encyklopedii, — może uda się wam przypomnieć sobie więcej szczegółów na ten temat, aby dostarczyć je nam jutro rano.

Doktor Sorenson zerwał się ze snu, z krzykiem. Usiadł, zastanawiając się, co go obudziło.

Kiedy jego nerwy w końcu się uspokoiły, powoli zdał sobie sprawę z tego, że obudził go nie jakiś zewnętrzny czynnik, ale jego własny sen.

Zaintrygowany niewyraźnym wspomnieniem snu, leżał nie mogąc zasnąć i próbując go sobie przypomnieć. Powoli wspomnienia wracały. We śnie przyglądał się niewielkiemu kamykowi, podobnemu do tych pieczołowicie dobieranych na figury szachowe.

Kiedy patrzył na kamyk, ten podzielił się i stał się dwoma oddzielnymi kamykami. Nie rozpadł się ani nie złamał, ale jego OBRAZ zmienił się w dwa obrazy, tak jak to się czasami dzieje, gdy widok z obu oczu nie jest skoordynowany.

Potem coś się stało. Miał przed sobą naprawdę dwa kamyki. We śnie podniósł jeden z nich i przyjrzał mu się dokładniej, podczas gdy drugi leżał nietknięty. Potem odłożył ten trzymany na ziemię.

I DWA KAMYKI ZŁĄCZYŁY SIĘ, STAJĄC SIĘ JEDNYM.

To właśnie go obudziło.

Nie złączenie się dwóch oddzielnych kamyków, aby stać się jednym, ale jakaś myśl, która w jego umyśle towarzyszyła temu połączeniu się.

Co to była za myśl?

— Iluzja pozycyjna.

Te słowa wdarły się do jego świadomości z wrażeniem, jakby wyrwały mu się wprost z umysłu.

— Ale — zaczął dyskutować sam ze sobą — gdybym miał dwa kamyki i straciłbym koordynację widoku z obu oczu, zobaczyłbym cztery kamyki, a nie jeden.

Jego logiczny umysł zwizualizował to. Gdyby kamyki były podobne do siebie, i umieszczone dokładnie we właściwych miejscach, to wydawałoby mu się, że są trzy kamyki, ponieważ obrazy jednego w jednym oku i drugiego w drugim oku nałożyłyby się, stając się jednym kamykiem, podczas gdy pozostałe obrazy nadal byłyby rozdzielone, dając w sumie wrażenie trzech kamyków.

Ale dlaczego obudził się ze snu, z takim gwałtownym zaskoczeniem? Zastanawiał się nad tą tajemnicą i nawet nie zauważył kiedy znowu zasnął. Rano zupełnie zapomniał o całym wydarzeniu. Gdyby ktoś go pytał, przysiągłby że przespał całą noc, nie budząc się ani razu.

ROZDZIAŁ IV

Siedmioletni Artur spał niespokojnie. Kilka razy w ciągu w nocy, budził się z cichym, kwilącym krzykiem. We śnie bez przerwy ścigał go Łupieżca, jego oczy przyszywały go łapczywie płonącym spojrzeniem, falujące macki sięgały w jego stronę — chybiając zaledwie o parę centymetrów, których brakowało aby zamknąć uchwyt.

Pani Smith, jego matka, spała lekko i za każdym razem gdy Artur się budził, brała go w ramiona i cicho mu nuciła, aż jego rozdygotane ciało rozluźniało się i usypiał.

Gerald Nolan także nie był w stanie zasnąć, długo po zgaszeniu świateł. Za każdym razem, kiedy zamykał oczy, czuł się jakby spadał w pozbawione dna niebo.

Ogarniały go szaleńcze zawroty głowy, po których przekręcał się i rozkładał płasko na brzuchu, z szeroko rozłożonymi ramionami, wbijając palce w piasek podłogi, tak jakby tylko chwytając się jej kurczowo, mógł się bezpiecznie przytrzymać i nie odpaść.

Potem zawroty głowy, przed którymi na chwilę był w stanie uciec przekręcając się na brzuch, wracały, a on mógł tylko cicho pojękiwać.

Nad ranem pani Nolan podczołgała się do niego i przyłożyła mu dłoń do czoła. Było bardzo gorące i suche od wysokiej temperatury.

Szybko obudziła pana Nolana i wysłała go, aby pobiegł po pomoc. W ciemnościach na korytarzu wpadł na pana Grahama, który wyruszył w tej samej misji. Kiedy podnieśli się i rozmasowali siniaki, złapali się za ręce i razem udali się do pokoju Gregory'ego Camerona.

Gregory nie spał, jego umysł krążył wokół nowych faktów zebranych dzięki przygodom trzech chłopców. Polecił obu mężczyznom, aby zabrali synów do ambulatorium. Potem on sam również wyszedł, udając się do telepatów, którzy pełnili również funkcje lekarzy.

Minęły pokolenia, od czasu kiedy ktoś był naprawdę chory. Lekarze byli w konfuzji, więc posłano również po ludzkie encyklopedie, które zostały obudzone.

Kiedy rano w końcu zapaliły się światła, obaj chłopcy rzucali się w malignie, mieli rozgorączkowane twarze i szybkie, chrapliwe oddechy.

Ostatecznie zdecydowano, że ponieważ z minuty na minutę robili się coraz gorętsi, najrozsądniej będzie zanurzyć ich ciała w basenie aby zimna woda obniżyła temperaturę ich ciał.

To wydawało się działać, ponieważ gorączka spadła i obaj chłopcy ponownie zaczęli myśleć przytomnie. Kiedy minęło pół godziny zostali wyciągnięci z wody, czując się znacznie lepiej. Gorączka szybko jednak

powróciła, więc znów wsadzono ich do basenu, z wodą podchodzącą po same brody.

Kiedy nadszedł czas na poranny posiłek, Gregory Cameron i pozostali członkowie najwyższej rady odeszli z poleceniem, że jeśli leczenie nie poprawi stanu chłopców, mają zostać o tym poinformowani.

Śniadanie zakończyło się i wysoka rada rozpoczęła obrady. Każdy z jej członków, sklasyfikowany jako encyklopedia (co oznacza że we wczesnej młodości wykazał się on wybitnymi umiejętnościami zapamiętywania faktów i dlatego otrzymał specjalne wykształcenie, które wypełniło jego umysł każdym skrawkiem znanej kolonii wiedzy), przekazał wszystko, co wiedział odnośnie nowego problemu, który pojawił się poprzedniego wieczora.

Potem głos zabrał Gregory – podsumowując rzeczy, które zostały powiedziane i dodając własne przemyślenia.

— Przekazano nam tutaj — powiedział — że koncepcja Trójcy, złożonej z Ojca, Syna i Ducha Świętego, jak to określono w książkach encyklopedycznych sprzed przybycia Łupieżców, miała być poza ludzkim ROZUMIENIEM i dlatego musiała być przyjmowana jako akt wiary.

— Łatwo byłoby odrzucić twierdzenie, że przekracza ona możliwości ludzkiego rozumienia, jako wybieg przywódców religijnych, pozwalający na uniknięcie dyskusji i sporów. Ale w świetle tego, co udało nam się pozyskać od Łupieżców, możemy wyciągnąć dwa bardzo zaskakujące wnioski, z których każdy z osobna lub oba jednocześnie, mogą być prawdziwe. Po pierwsze, istnieje jakiś podstawowy czynnik rzeczywistości znany dawnym przywódcom religijnym, który przecież byli również naukowcami, skłaniający ich do postawienia twierdzenia że Bóg był trój-jeden, a jednak był Jednością. Po drugie jeden z Łupieżców odwiedził w przeszłości Ziemię, aby badać ludzi i przekazać im swą wiedzę naukową.

— Teoria zwiadowcy wszystko bardzo ładnie wyjaśnia. Zwiadowca, próbujący uczyć wczesną ludzkość, stwierdził wkrótce, że ludzie posiadali zbyt małe zasoby inteligencji jego rodzaju, aby nauczyć się nawet elementarnych serii liczbowych. Upierali się ponadto, co zwiadowca uważał za nonsensowne, przy własnych sposobach liczenia.

— W końcu poddał się i odleciał, wracając do domu i pozostawiając po sobie jądro wiedzy, które później zaczęło ulegać coraz większemu zniekształceniu, albo może zostało zachowane dokładnie, ale tylko to co oryginalni odbiorcy zrozumieli na swój niedoskonały sposób z przekazów zwiadowcy.

— Minęło dwadzieścia pięć stuleci, w czasie których zwiadowca wrócił do domu i sporządził raport, niekorzystny dla nas. Migrująca gromada Łupieżców, opierając swe działania na raporcie zwiadowcy, nie nawiązała kontaktu z ludzkością, ale zniszczyła ją, tak jak się tępi robactwo w brudnym pokoju, przed wprowadzeniem się do niego.

Gregory przerwał, zastanawiając się nad tym, co powiedział.

— Najbardziej niezwykły — zaczął mówić dalej, — jest fakt, że przekonaniu o trój-jednym charakterze Stwórcy, towarzyszyło zdecydowane stwierdzenie, iż natura tej trój-jedności jest poza zrozumieniem człowieka. Przez tysiąc lat kontaktu telepatycznego z rasą trój-jednych istot, nie byliśmy w stanie pojąć natury trój-jedności.

— I znów, liczby pięć, siedem i jedenaście także zawsze niosły ze sobą religijne lub mistyczne znaczenie. Późniejsze kontakty z Łupieżcami potwierdziły, że te liczby pierwsze również posiadają znaczenie przekraczające nasze możliwości zrozumienia. Związane są z czymś co nazywamy zwijaniem, z braku lepszego określenia.

— W XIX i XX wieku napotykamy poważne próby wyjaśnienia natury funkcjonowania umysłu człowieka, na podstawie trójcy złożonej z wysokiego ja, niskiego ja i świadomego ja. W tej teorii każdy jest indywidualną jednostką, ale żywy człowiek jest trój-jednością powyższych trzech elementów. Jedno ze źródeł twierdzi, że każda z jednostek dokonuje reinkarnacji w kolejnych ludzi. Wysokie ja jest dobrze rozwinięte. Niższe ja jest bytem, który powstał w świecie zwierząt i rozwijał się, aż mógł osiągnąć stan ludzki. Świadome lub pośrednie ja jest tym elementem, który kilka razy reinkarnował i bardzo się rozwinął ponad poziom zwierzęcia, ale wciąż nie na tyle mocno, aby być wysokim ja.

— Możemy interpretować tę teorię, jako bardziej nowoczesną próbę wyjaśnienia niezrozumiałej dla ludzi natury trój-jedności, wyczuwalnej w naturze samego człowieka!

— Teraz zamierzam przestawić coś bardzo zaskakującego. Nie jest to bynajmniej rozstrzygająca teoria, ale myślę, że to nowe podejście do wyjaśnienia funkcjonowania Łupieżców. Rozważmy sytuację, że mózg jest swoistą maszyną wykorzystywaną przez jakiś byt, jaźń, o strukturze molekularnej, lub jakiejś innej strukturze przekraczającej obecnie naszą wiedzę. Przypuśćmy dalej, że ta maszyna jest tak zbudowana, iż potrzebuje do swego działania trzech takich operatorów.

— Wówczas jeden lub dwóch operatorów nie jest w stanie sprawić, że mózg będzie funkcjonował! W każdym przypadku będzie on wymagał do działania trzech operatorów. Powiedzmy, że nasz własny mózg ma właśnie taki charakter. Przypuśćmy dalej, że ci operatorzy mają możliwość odchodzenia i wracania zgodnie z własną wolą.

— Przyjmijmy, że ja byłbym tak zbudowany. Jeden z operatorów w moim trój-jednie działającym mechanizmie mózgu odchodzi. Załóżmy dalej, że nie umieram. Moje ciało żyje, ale mój umysł w ogóle nie jest w stanie funkcjonować. Potem inny operator niż ten, który odszedł, zajmuje jego miejsce. Mój umysł może ponownie funkcjonować, ale nie jestem już dłużej Gregorym. Jestem nową trój-jedną osobą!

— A teraz przypuśćmy, że główna różnica między człowiekiem a Łupieżcą polega na tym, że elementy tworzące ludzką trój-jedność nie pamiętają poprzednich związków i nie są świadome, iż są trój-jednością a nie pojedynczym bytem, podczas gdy elementy tworzące umysł Łupieżcy pamiętają to doskonale i przenoszą swą indywidualną jaźń od związku do związku, i ponadto, dzięki swym bardziej fundamentalnym koncepcjom

liczbowym są one świadome natury trój-jedności, z której my nie zdajemy sobie sprawy. Jak to brzmi?

Gregory rozejrzał się pytająco, po czym usiadł, by poczekać na komentarze.

Wstał dr Sorenson, logik.

— Aby spojrzeć na to z nieco innej strony — powiedział, — możemy założyć, że nasza iluzja pozycyjna tej konkretnej fazy rzeczywistości, znajduje się na innej płaszczyźnie niż iluzja pozycyjna Łupieżców. Gdybyśmy potrafili przeniknąć naturę trój-jedności, moglibyśmy otrzymać klin pozwalający na penetrację transformacji prawdziwości między naszą wiedzą naukową i Łupieżców, co prowadziłoby nas do niezmienników leżących u podstaw obu systemów naukowych, pełnego zrozumienia wiedzy naukowej Łupieżców, oraz zdolności natychmiastowego wniknięcia we wiedzę każdego możliwego do wyobrażenia rodzaju obcych istot!

Jeden z członków rady o encyklopedycznych zdolnościach, wstał.

— Pańskie wystąpienie, doktorze Sorenson — zaczął, kiwając z szacunkiem głową w stronę dr Sorensona — przypomniało mi nauki grupy religijnej XX wieku, która upierała się, że materia jest iluzją, i zmieniając nasz system pojęciowy, możemy zmienić naturę. Nie wymazać naturę, ale zmienić ją.

Na twarzy doktora Sorensona pojawił się wyraz zaskoczenia. Napływ wspomnień przywrócił mu pełną pamięć o nocnym śnie. Wstał pospiesznie.

— Ostatniej nocy miałem pewien sen — powiedział i przerwał zmieszany.

— Śmiało — zachęcił go Gregory z uśmiechem. — Musiał on być bardzo istotny, aby wpłynąć na pański logiczny umysł tak, jak to zdaje się miało miejsce.

— To prawda! — zawołał doktor Sorenson. Następnie opowiedział o swoim śnie. — Dlaczego — podsumował — śniłem o tym że widzę DWA kamyki, podnoszę jeden z nich i odkładam go, podczas gdy drugi leży w tym samym miejscu. Potem cała moja wiedza o niemożliwym charakterze tego zdarzenia wytrąciła mój wzrok z tego stanu synchronizacji, tak że oba kamyki połączyły się, stając się jednym, PRAWDZIWYM? Oczywiście, tylko we śnie. — Usiadł.

Rząd psychologów, z tyłu pomieszczenia, popatrzył po sobie z uśmiechem na twarzy. Kiedy dr Sorenson usiadł, wstał główny psycholog.

— Jest to dobrze znane w psychologii zjawisko — zaczął wyjaśniać. — Podświadomy umysł często zastanawia się nad problemami, kiedy świadomy umysł nie zdaje sobie z tego sprawy. Po znalezieniu rozwiązania podświadomość często musi uciekać się do sztuczek lub symboli, aby przekazać swoje wnioski świadomemu umysłowi.

— Załóżmy dr Sorenson, że pańska podświadomość rozwiązała kwestię natury trój-jedności. Ponieważ zrozumienie tego przekracza zdolności pańskiego świadomego umysłu, podświadomość ze swym pragnieniem, by wszystko przekazać, dostarczyła panu snu stanowiącego mieszankę tego, co ona wie i tego co może pan przyjąć. Innymi słowy stanowi on symboliczną zagadkę do rozwiązania, dla pańskiego świadomego umysłu.

Powiedziałbym, że pański sen jest kluczem do natury trój-jedności, którego szukaliśmy przez te wszystkie wieki!

Rozejrzał się po innych psychologach. Skinęli głowami na zgodę, więc usiadł.

Po radzie rozlała się atmosfera stłumionego napięcia. Wrażenie zbliżania się jakiegoś doniosłego osiągnięcia, wydawało się mieć charakter niemal fizycznej rzeczy, wiszącej nad nimi w powietrzu.

— MAM! — wykrzyknął nagle Sorenson, wyskakując do góry. — Oczy!

— Co ma pan na myśli – mówiąc „oczy"? — Gregory zapytał, kiedy dr Sorenson zawahał się.

— Arthur mówił nam, że Łupieżca, którego widział, cały był pokryty mnóstwem oczu. My mamy tylko dwoje oczu. Nasze oczy dostosowują się do siebie, aby obrazy które wysyłają do mózgu, współgrały ze sobą. To jest automatyczna funkcja mózgu.

W swoim podnieceniu kroczył w tą i z powrotem przed radą.

— Wiadomości, przekazywane przez oczy umysłowi, są pewnym złudzeniem, stworzonym na podstawie rzeczywistości przekształconej przez wrodzone funkcje mózgu. Oczywiście nasze pojęcia, nasze myślenie, w bardzo dużym stopniu opierają się na tym, co mówią nam oczy.

— Tak samo jest w przypadku Łupieżców. Tyle że oni mają wiele oczu. Jak te oczy koordynują, aby stworzyć złudzenia wysłane do umysłu? Zakładaliśmy, że oni widzą w taki sam sposób jak my, że to co widzimy jest prawdziwe, oraz że ich umysły widzą te same rzeczy, które my widzimy.

— Czyż nie jest jednak oczywiste, że podczas gdy my widzimy trzy kamyki, oni widzą coś, co NIE jest trzema kamykami? Gdyby widzieli trzy kamyki, dokładnie wtedy kiedy i my, ich zbiory liczbowe byłyby takie same tak jak nasze, a zatem ich matematyka byłaby taka sama jak nasza. Sekret tkwi w automatycznym mechanizmie przekształcania przekazu wzrokowego w impuls myślowy!

Kiedy zakończył przemowę, podniósł się gwar rozmów. Wreszcie Gregory wstał i wezwał wszystkich do milczenia.

— Uczniowie czekają już na nas w klasach. Czas, aby odroczyć to poranne spotkanie. Powiedzmy, że spotykamy się po wieczornym posiłku na kolejną dodatkową sesję.

Członkowie rady, sprowadzeni na ziemię do rutyny funkcjonowania kolonii, wstali i wyszli z pomieszczenia.

ROZDZIAŁ V

Gerald miał zamknięte oczy. Tępy, pulsujący ból pulsował w nich nawet wtedy, gdy zamknięte powieki blokowały większość oślepiającego światła. Próbował unieść jedną rękę i zasłonić oczy dłonią. Ten daremny wysiłek zupełnie wyczerpał jego siły. Ręka opadła z powrotem na piaszczystą podłogę.

Niewyraźnie, jakby z wielkiej odległości, usłyszał nucenie, piosenkę śpiewaną przez matkę. Jakoś mgliście zdawał sobie sprawę, że jego głowa spoczywa na jej kolanach.

Świadomość ta rozmyła się, a on nagle znalazł się w basenie, pływając razem z wieloma innymi chłopcami i dziewczynami.

Wygramolił się na brzeg basenu i odwrócił się, aby popatrzeć na swych towarzyszy zabawy. Zniknęli, a zamiast nich na powierzchni basenu unosiły się pływające śmieci.

Nie. Nie wszystko to były śmieci. Pośród jakichś liści kapusty widać było wystającą głowę Jimmy'ego. Chociaż to nie był Jimmy, ale wyglądał bardzo podobnie do niego.

Gerald skoczył z brzegu, dając długiego, płytkiego nura. Basen jednak zniknął, a on zanurkował w niebo. Spadał, spadał, falujące białe obłoki pędziły ku niemu, zaś pod nimi nie było widać nic prócz głębokiego nieba.

Wykręcił się gorączkowo by spojrzeć w górę, i zobaczył że basen szybko się od niego oddala, robiąc się coraz mniejszy. Krzyknął ze strachu, wszechogarniającego, szaleńczego przerażenia.

Jego umysł rozmył się. Po chwili ponownie znajdował się w basenie. Omywająca jego skórę woda była chłodna. Prawdziwa.

Otworzył oczy i zobaczył spoglądającą na niego z góry zatroskaną twarz matki, a jej ramiona uspokajająco obejmowały jego ciało, kiedy podtrzymywała go tak, by głowa nie zanurzyła się w wodzie.

Woda była chłodna…

Przekręcił głowę w bok i zobaczył w wodzie blisko siebie głowę Jimmy'ego. Jimmy patrzył na niego. Uśmiechnął się do niego i poczuł radość, gdy Jimmy również odpowiedział mu uśmiechem.

Po pewnym czasie zasnął. Potem śnił że przyszedł Gregory Cameron i spoglądał na niego z góry. We śnie Gregory zapytał matkę, jak Gerald się czuje, ona zaś odpowiedziała mu, że właśnie zasnął. Gregory uśmiechnął się do niego i wesoło mrugnął okiem. Potem odwrócił się i wyszedł.

Niedługo potem, do Geralda przyszło również jakieś zabawne stworzenie, z mnóstwem rąk wijących się wszędzie na całym ciele, i oczyma zerkającymi z miejsc w których ręce te łączyły się z tułowiem. Zapytało matkę, o jego zdrowie.

Matka wydawała się nie widzieć niczego niezwykłego w wyglądzie stwora, ponieważ tylko uniosła głowę na dźwięk jego głosu i powiedziała, że czuje się już lepiej i że śpi.

Wtedy stworzenie uśmiechnęło się potwornie setką ust i wyciągnęło w stronę Geralda swe zimne macki, owijając nimi jego gardło i zaczynając go dusić.

Zacisnęło uchwyt. Jego sto ust uśmiechało się i coraz bardziej zbliżało, aż w końcu nie widział niczego poza tymi uśmiechniętymi ustami i wpatrującymi się w niego złowrogimi czerwonymi oczyma, czując duszący uścisk setek zimnych macek, oplatających mu gardło.

Czuł, że stwór wyciąga go z wody. Walczył niemrawo. Po chwili potwór wyciągnął go z wody i kołysał nim w powietrzu.

Szybciej. Szybciej. Poruszał się tak szybko, że wszystko wokół niego stało się plamą wirującego chaosu. Nagle stwór go puścił. Poczuł tylko mgliście, jak ostatnia macka przesuwa się ohydnie po jego gardle. Próbował ją uchwycić i przytrzymać się jej.

Potem znów spadał w niebo. Coraz szybciej. Spadanie.

Otworzył oczy. Matka uśmiechała się do niego. Był w jej ramionach, a ona powoli kołysała całym ciałem, starając się go utulić.

Przycisnął głowę do jej ramienia i ponownie zamknął oczy.

Gregory podniósł się i popatrzył na siedzące postacie członków najwyższej rady.

— Ponieważ, według psychologów — powiedział, — dr Sorenson przechowuje w swojej podświadomości wiedzę o naturze trój-jedności, najlepiej będzie wysłuchać tego co ma do powiedzenia, jako pierwszego mówcę tego wieczoru. — Usiadł.

Wstał dr Sorenson.

— Obawiam się, że dzisiejszego dnia bardzo zaniedbałem swoje zwykłe zajęcia — powiedział z uśmiechem. — Ale mam mocne podejrzenia, że wszyscy zrobiliśmy coś podobnego, przynajmniej w pewnym stopniu.

Na potwierdzenie jego słów na całej sali pojawiły się uśmiechy i porozumiewawcze kiwnięcia głowami. Mówił dalej.

— Istnieje wiele aspektów rozważanego problemu. Podchodząc do niego najpierw z naszego własnego punktu widzenia, możemy stwierdzić, że albo nie widzimy wszystkiego, co nas otacza, z powodu jakiejś wady naszego mechanizmu postrzegania (w takim przypadku Łupieżcy siedzą na tym samym wózku); albo widzimy rzeczywistość, podczas gdy Łupieżcy widzą swymi oczyma jakąś czysto fikcyjną iluzję (w takim przypadku możemy odnieść korzyści z naszego dokładniejszego punktu obserwacyjnego); albo, wreszcie, to Łupieżcy widzą rzeczywistość, a my naszymi oczyma widzimy czysto fikcyjną iluzję (w którym to przypadku opinia Łupieżców o nas, jest poprawna).

— Wolałbym założyć, że widzimy CZĘŚĆ rzeczywistości, a Łupieżcy widzą swoją część – że wizualna iluzja, z której czerpiemy wiedzę o rzeczywistości jest prawidłowa, A PRZYNAJMNIEJ, W SWOIM ZAKRESIE,

zaś Łupieżcy siedzą na tym samym wózku. Ich wizualna iluzja TAKŻE jest poprawna, przynajmniej w swoim zakresie.

— Patrząc na to w ten sposób, możemy powiedzieć, że ZARÓWNO my jak i Łupieżcy mamy rację co do tego, że to co widzimy jest rzeczywistością; ale również to co widzimy i to co oni widzą jest fałszem, w tym sensie, że pół prawda nigdy nie jest prawdą!

— Zastanówmy się, w jaki sposób postrzega się rzeczywistość, kiedy patrzymy jednym okiem? Jednym okiem widzimy otoczenie dwuwymiarowo. Nie możemy ocenić względnej odległości w której znajdują się obiekty. Dwojgiem oczu natomiast, widzimy dwie dwuwymiarowe panoramy, które nasz umysł stapia razem w trójwymiarowy obraz otoczenia, na którym możliwe są do określenia względne odległości obiektów od nas.

— Innymi słowy, podwójne widzenie daje naszemu umysłowi coś więcej niż tylko połączenie dwóch obrazów. Pozwala ocenić, że jedna rzecz jest dalej niż inne lub bliżej. Co do obrazu dostarczanego naszemu umysłowi przez dwoje oczu, dodałoby trzecie oko?

— Przyjmijmy, że przyniosłoby ono COŚ dodatkowego. Podobnie jak człowiek, który urodził się tylko z jednym okiem, będzie mógł uchwycić intelektualnie koncepcję tego czym jest perspektywa, chociaż nigdy nie będzie zdolny do jej ZOBACZENIA, tak jak widzi ją człowiek o dwu oczach, nam również może uda się dowiedzieć, co takiego może postrzegać trójoki człowiek, czego my nie potrafimy, oraz jakiego rodzaju obraz mentalny tworzony jest przez dowolną liczbę oczu, którego to obrazu nie dostarcza nam nasza para oczu.

— I tu mamy wspomniany klin, pozwalający na dokonanie wyłomu! Nie dostrzegamy czegoś fundamentalnego, co dotyczy liczb i przestrzeni, a być może jesteśmy nieświadomi dużej części tego, co nas otacza, ponieważ mamy tylko dwoje oczu. Musimy zadać sobie pytanie, co może być takiego w liczbie TRZY, czego my nie potrafimy dostrzec. Musimy spróbować zrozumieć, jak to jest możliwe, że TRZY wygląda jak JEDEN, a jednak nie jest równe ani JEDEN ani TRZY. Jeżeli będziemy w stanie dojść do tego na drodze czystego rozumowania, może uda nam się zrozumieć wiedzę naukową Łupieżców. NIGDY nie uda nam się zobaczyć tego bezpośrednio.

Dr Sorenson usiadł. Gregory zaczął już się podnosić, ale opadł z powrotem na ziemię, widząc że wstał inny człowiek. Był to jeden z matematyków.

— Myślę, że nadążam za linią pańskiego rozumowania — powiedział ostrożnie. — Kontynuując ją, jednooki człowiek może dostrzec że jedna rzecz jest dalej niż inna od danego obiektu, dzięki obrazowi wizualnemu przekazanemu do jego umysłu, kiedy jest to odległość w BOK. Pójdźmy może w tym kierunku.

Przeszedł na czoło pomieszczenia i przykucnął, wygładzając piasek na podłodze i robiąc w nim trzy dziury. Dziury nie były położone w jednej linii.

— A teraz — wyjaśnił. — Kiedy jednooki człowiek widzi te trzy obiekty z miejsca położonego blisko podłogi, wydają się być one w jednej linii. Z

pewnego kierunku, jednooki człowiek mógłby powiedzieć, że obiekt położony na prawo od środkowego jest najbliżej niego, ponieważ w jego płaskim obrazie WYDAJE się on być najbliżej. W rzeczywistości, położony jest najdalej od środkowego. A więc, obraz dostarczany mu przez jedno oko wprowadza go w błąd!

— Co zaś widzimy dwojgiem naszych oczu, w związku z tą liniowością? Czas! Dla nas przestrzeń jest trójwymiarowa, ale czas jest tylko dwuwymiarowy! Właściwie czas jest dla nas tylko jednowymiarowy, ale wydaje się dwuwymiarowy z powodu pamięci.

— Brakuje nam perspektywy czasowej. Postulujemy, że wszystkie elementy wszechświata znajdują się w TERAZ, to jest pewnym matematycznym punkcie na linii czasu. Dla nas trójwymiarowa przestrzeń, w której istnieje rzeczywistość, to rodzina punktów w chwili TERAZ, w całym kontinuum czasoprzestrzennym.

— JAK WYGLĄDAŁABY RZECZYWISTOŚĆ, GDYBYŚMY MOGLI POSTRZEGAĆ TRÓJWYTMIAROWE KONTINUUM CZASU? Nie bezpośrednią przeszłość i przyszłość, ponieważ są one bezpośrednio po prawej i po lewej stronie wizualnego obrazu płaszczyzny czasowej, który nasze umysły pozyskują z rzeczywistości, i są częścią tej samej płaszczyzny. Nie dodają GŁĘBOKOŚCI do obrazu rzeczywistości, który otrzymujemy.

— Jeżeli przyjmiemy istnienie kontynuacji rzeczywistości w wymiarze czasowym pod kątem prostym do linii przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, oraz istnienie kontynuacji rzeczywistości w trzecim wymiarze, pod kątem prostym do obu z poprzednich, otrzymamy trójwymiarowe kontinuum czasowe, w którym my jesteśmy w stanie postrzegać tylko jedną matematyczną płaszczyznę, a być może nawet tylko jedną matematyczną prostą!

— Spróbujmy poczynić teraz pewną analogię. Przypuśćmy, że moglibyśmy postrzegać tylko jedną matematyczną płaszczyznę w przestrzeni i nie bylibyśmy świadomi istnienia czegokolwiek spoza tej płaszczyzny. Wtedy, zakładając że rzeczywistość złożona jest z cząsteczek, widzielibyśmy tę rzeczywistość jako zbiór izolowanych punktów rzeczywistości. Nie będąc świadomi trzeciego wymiaru, pod kątem prostym do naszej płaszczyzny rzeczywistości, postrzegalibyśmy człowieka, na przykład, jako coś bardzo zbliżonego do płaskiego, mikroskopijnie cienkiego przecięcia jego ciała. Widzielibyśmy jednak, że między POSZCZEGÓLNYMI PUNKTAMI BRAK JEST POŁĄCZENIA.

— A teraz. — Matematyk zdał sobie sprawę, że tak intensywnie skoncentrował się na zagadnieniu, że zaczął niemal krzyczeć. Przerwał na chwilę, a potem podjął dalej tok wypowiedzi, już bardziej normalnym tonem.

— Gdy Łupieżca patrzy na trzy rzeczy, nie widzi trzech rzeczy. Widzi coś, co ma właściwości jednej rzeczy, oraz coś dodatkowego. Coś, czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć. Załóżmy, że patrzymy na izolowane punkty a on spogląda na nie w swojej perspektywie o wymiarach czasowych. On nie będzie widział tego samego co my, chyba że weźmie matematycznie cienki przekrój rzeczywistości, którą postrzega i nie

wymaże całej reszty. My nie możemy zobaczyć całego obrazu, ponieważ nasze zmysły i umysły są spłaszczone w czasie.

Zaczął siadać, ale przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl i poderwał się ponownie.

— W analogi do przestrzeni, z której skorzystałem — dodał jeszcze, — płaszczak, który widzi tylko punkty na jednej płaszczyźnie, nie będzie widział połączeń między nimi. Nie będzie widział trójwymiarowych połączeń, które czynią człowieka jednym organizmem. W naszym przypadku, nie będziemy mogli zobaczyć pozostających poza naszą świadomością głębin czasu, które łączą trzy kamyki w jedną całość. Będziemy widzieć tylko trzy odizolowane, równolegle przebiegające zdarzenia. Czy to możliwe, że nasze PRAWA NATURY to tylko OBRAZ, spowodowany powiązanymi ruchami punktów rzeczywistości w naszej płaszczyźnie czasowej, oraz że Łupieżcy mogą postrzegać bezpośrednio i wizualnie te powiązania, które my musimy dedukować z eksperymentów?

Tym razem już usiadł, jego umysł wyczerpany był próbą przedstawienia rzeczy nieprzedstawialnej.

Gregory powoli wstał. W pomieszczeniu panowała cisza.

— Jeśli dobrze rozumiem, co panowie powiedzieli — oznajmił powoli, — to jesteśmy zupełnie nieświadomi praktycznie całości otaczającej nas rzeczywistości. Jeżeli oznaczymy obecne „teraz" w czasie, na przykład przez współrzędną X, to całość „teraz" tworzy płaszczyznę Y-Z. My jesteśmy świadomi tylko jednego punktu na tej płaszczyźnie – powiedzmy punktu (3, 5). Rzeczy znajdujące się w tym samym miejscu w przestrzeni, ale w punkcie (3, 6) w głębi czasu, pozostają poza naszą świadomością, ale stanowią niedostrzeganą przez nas część świadomości Łupieżcy, który widzi złączoną całą płaszczyznę czasową odpowiadającą chwili obecnej, dla każdej, najmniejszej nawet, części przestrzeni, która go otacza.

— Coś w tym stylu — powiedział matematyk z nerwowym chichotem.

— Jezu! — wykrzyknął Gregory. — Nic dziwnego, że sklasyfikowali nas jako nie rokujących nadziei!

Doktor Sorenson wstał ponownie.

— Moja podświadomość — powiedział z uprzejmym skłonem i złośliwym uśmieszkiem, w stronę psychologów — mówi mi, że to nie jest do końca słuszna koncepcja, ale jest to krok w dobrym kierunku. Nie wiem czy to, co mam zamiar powiedzieć, będzie miało jakiś sens, czy nie. Dla mnie to nie ma sensu, a więc jest zachęcające. Gdyby miało to sens dla mnie, nie mogłoby to być to podstawą funkcjonowania Łupieżców.

— Nadal rozumując przez analogię — powiedział po chwili milczenia, w czasie której zbierał myśli — weźmy pod uwagę długi obiekt, poruszający się ze stałą prędkością. Powiedzmy, że podąża on z minus nieskończoności, wzdłuż współrzędnej X w przestrzeni, i zmierza do nieskończoności w prawą stronę. Innymi słowy, porusza się jednostajnie wzdłuż osi X i będzie to robić wiecznie.

— Załóżmy dalej, że istnieje płaszczyzna Y-Z, przecinająca jakąś część tego długiego obiektu i poruszająca się z tą samą szybkością, tak że zawsze przecina tę samą jego część. Nazwijmy dalej tę płaszczyznę Y-Z naszą przestrzenią czasowych płaszczaków w trójwymiarowej przestrzeni.

Wtedy dowolny punkt na tej płaszczyźnie czasowej jest jakimś punktem w przestrzeni w tej chwili.

— Długi obiekt posiada przecięcie z tą płaszczyzną, które dla nas pojawiałoby się jako trójwymiarowa bryła. Ale jest to obiekt o pewnej długości w czasie, a więc istnieje także na określonym odcinku czasu w przyszłość i określonym odcinku czasu w przeszłość. Jednak te występy nie są w NASZEJ przyszłości i przeszłości, lecz w pewnym skończonym przedziale zawierającym nieskończoną liczbę płaszczyzn czasowych, które podróżują z taką samą prędkością jak nasza własna teraźniejszość, której my jesteśmy świadomi.

— Nadajmy naszemu długiemu przedmiotowi jakiś kształt. Powiedzmy, że w naszym obecnym „teraz", jest to sześcian. I przyjmijmy, że gdybyśmy mogli skoczyć dziesięć sekund do przodu i pozostać te dziesięć sekund przed naszą teraźniejszością, znaleźlibyśmy się w przecinającej go płaszczyźnie Y-Z, w której przekrój naszego długiego obiektu byłby sferą, oczywiście do naszych oczu widzących rzeczy tylko jako trójwymiarowe obiekty przestrzenne, w chwili zwanej teraźniejszością.

— Wtedy, zakładając że Łupieżcy potrafią „patrzeć" w te inne płaszczyzny czasowe i widzieć jako CAŁOŚĆ obiekty, które my widzimy tylko jako części płaszczyzny, byliby oni w stosunku do nas w takiej samej pozycji, jak my w stosunku do rasy, która nigdy nie będzie w stanie zobaczyć więcej niż tylko nieskończenie cienkiego, płaskiego przekroju ludzkiego ciała.

Zawahał się, oszołomiony.

— Czy widzicie w tym jakikolwiek sens? — zapytał, rozglądając się po sali.

— Zaczynam już od tego dostawać bólu głowy — stwierdził jeden z członków rady.

— No cóż, ja też, jeżeli już o tym mówimy — odparł dr Sorenson. — Może uda mi się to trochę wyjaśnić. Przypuśćmy, że jestem „długi" w czasie. Powiedzmy, że rozciągam się o dziesięć minut do przodu i całą godzinę do tyłu. Jestem ŚWIADOMY tylko tego płaszczyznowego przecięcia mnie, które wszyscy panowie widzicie. Płaszczyznowe przecięcie mnie pięć minut w przeszłości, nie jest mną sprzed pięciu minut, ponieważ to płaszczyznowe przecięcie znajdowało się wtedy dziesięć minut w przeszłości. Te elementy nigdy nie kolidują, tak samo jak mój kręgosłup nigdy nie koliduje z żołądkiem, kiedy idę. To przecięcie płaszczyznowe, które istnieje pięć minut w przeszłości, ma tę samą współrzędną czasową, którą miałem pięć minut temu od teraz, ale nie jest mną. To może być cokolwiek i może mieć dowolny kształt przestrzenny, o ile wiem.

— Łupieżca może zobaczyć CAŁEGO mnie. Chwileczkę. Mam lepszą analogię, która może wyrazić to, co mam na myśli. Załóżmy, że istnieją pewne stworzenia, dla których całą uświadamianą sobie przez nie rzeczywistością, jest powierzchnia wody w kałuży. Wsuwam do wody dłoń i przesuwam ją w przypadkowy sposób. Wszystko, czego mogą być świadome, to ruch powierzchni i płaski przekrój mojej dłoni. Powiedzmy, że aby zamieszać wodę w kałuży, wkładam tylko palce. Widzą one pięć obiektów i próbują na podstawie ich ruchu wydedukować prawo grawitacji.

Te pięć obiektów nie są dla nich w żaden sposób połączone, chyba że przez jakieś prawo przyciągania, wyrażone w kategoriach ich dwuwymiarowej przestrzeni.

— My jesteśmy w stanie widzieć w trzecim wymiarze i zobaczyć od razu, że to pięć palców dłoni ludzkiej porusza powierzchnią kałuży. ZOBACZYMY CAŁOŚĆ, która wytwarza powiązane ruchy oddzielnych obiektów. One muszą spróbować wyjaśnić te związki w ruchu przy pomocy praw fizyki, które biorą pod uwagę tylko to, co widzą.

— Załóżmy teraz, że cała nasza rasa, żyjąca tutaj w tym zoo, jest pojedynczym obiektem w czasie. My jesteśmy świadomi tej sytuacji, jako dużej liczby odrębnych osobników, które rodzą się, dorastają i ostatecznie umierają. To, czego jesteśmy świadomi, to tak samo jak z tymi oddzielnymi palcami zanurzonymi w wodzie. To wszystko, co kiedykolwiek będziemy w stanie zobaczyć. Ale dla Łupieżcy nie jesteśmy oddzielnymi jednostkami, lecz jednym wielkim stworzeniem. I istota ta zupełnie nie wygląda tak, jak my siebie widzimy.

— Dla płaszczaka żyjącego w kałuży na powierzchni wody, dłoń człowieka to pięć dysków, które poruszają się w pewnym, powiązanym wzorcu. Dla nas, dyski te to tylko przekrój naszych palców, a my jesteśmy znacznie bardziej złożeni niż one. Moglibyśmy odciąć te pięć palców, a człowiek nadal by istniał! Do Łupieżcy nasze oddzielne ciała są tylko przekrojami poprzecznymi w tej „płaszczyźnie" czasu znacznie większego stworzenia, które oni widzą. To, jak ono wygląda, przekracza możliwości naszego pojmowania, podobnie jak wygląda całości ciała człowieka przekraczałby możliwości pojmowania płaszczaka żyjącego na powierzchni wody w kałuży.

Dr Sorenson usiadł. Zgromadzenie zapadło w milczenie.

— W takim razie — powiedział w końcu Gregory, przerywając głęboką ciszę, — można by powiedzieć, kiedy my widzimy trzy kamyczki, Łupieżca widzi widelec z trzema zębami lub coś podobnego. Na tej samej zasadzie, kiedy telepaci czytają umysł Łupieżcy, nie czytają go w całości, ale tylko przekrój nieskończenie większego umysłu. Nigdy nie zauważyliśmy że nam czegoś brakuje, ponieważ nie jesteśmy w stanie nawet sobie wyobrazić tego większego stworzenia.

Ponownie zapadł w milczenie. Wreszcie dodał:

— Podobnie prawa fizyczne, tak jak je pojmujemy, są po prostu objaśnieniami jakie wymyślamy dla powiązań między obiektami, z którymi mamy do czynienia, znajdującymi się przed lub za nami w istniejących połączeniach czasowych i które mają swoje źródło zawsze przed lub za nami w czasie. Połączeniach, które Łupieżcy widzą w całości i bezpośrednio, podczas gdy my musimy prowadzić eksperymenty i wymyślać teorie, które nie wyjaśniają niczego.

I znów zapadł w milczenie. Minęło pięć minut, w zupełnej ciszy z wyjątkiem sporadycznych westchnień przebijających się przez rytmiczne odgłosy oddechów.

Potem Gregory wstał.

— Proponuję, aby matematycy i logicy prowadzili przez jakiś czas regularne wieczorne sesje i zdobyli wszelkie informacje niezbędne do

zamknięcia tego wszystkiego w zwartej postaci. Sugeruję również aby telepaci sondowali umysły Łupieżców, biorąc pod uwagę w swych analizach to, do czego dziś dotarliśmy, próbując rozwiązać tajemnicę na swój sposób. To prawdopodobnie jest beznadziejna sprawa, ale przynajmniej może uda nam się lepiej poznać nasze ograniczenia. Spotkanie na dzisiaj, zostaje zamknięte.

ROZDZIAŁ VI

Gerald otworzył oczy z wrażeniem, że dzisiaj czeka go coś wyjątkowego. Światła jeszcze się nie zapaliły. Leżał nieruchomo, jego umysł usiłował zebrać razem wątki życia, które rozproszyły się podczas snu.

Dzisiaj zostanie przyjęty do rady generalnej jako logik. Jego pierwszy nauczyciel w radzie juniorów, członek wysokiej rady, uścisnął mu uroczyście dłoń po ceremonii zakończenia studiów i powiedział mu, że spodziewa się zobaczyć go w wysokiej radzie, w ciągu kolejnych pięciu lat.

Miał teraz dwadzieścia jeden lat. Jego umysł powędrował leniwie o wiele lat wstecz. Czternaście lat temu on, Jimmy i Arthur ukryli się w pojemnikach na śmieci i uciekli na zewnątrz – pierwsi ludzie od tysiąca lat, którzy zobaczyli świat zewnętrzny!

Wzdrygnął się na wspomnienie chwil gdy o włos uniknął śmierci na skutek gorączki, na którą on i Jimmy zapadli po tym wydarzeniu. Była to jakiegoś rodzaju choroba, ale Arthur z nieznanego powodu jej uniknął. Może dlatego, że wcześniej dostał krwotoku z nosa.

On też wkrótce wyzdrowiał. Tak samo jak Jimmy. Potem cała kolonia złapała chorobę w łagodniejszej formie. Wystarczyło, że przez jakiś czas ludzie pilnowali chorych, którzy leżeli zanurzeni w basenie, pozwalając, by zimna woda odbierała duże ilości ciepła, wytwarzane przez gorączkę.

Potem gorączka zniknęła, tak że w końcu wszyscy już o niej zapomnieli.

Trzej chłopcy zostali na kilka lat wysłani na specjalne zajęcia, na których byli bardziej nauczycielami niż uczniami. Wciąż w każdym najdrobniejszym szczególe, musieli na nowo przeżywać swoje doświadczenia z wypadu na zewnątrz.

Gerald uśmiechnął się w ciemnościach do siebie z zadowoleniem. To było miło, być ośrodkiem zainteresowania całej kolonii.

W miarę upływu czasu ta świadomość, że jest się ośrodkiem zainteresowania coraz bardziej malała, zastępowana poważniejszym uczuciem, zwiększającej się odpowiedzialności wobec grupy i rosnącej wiary we własne umiejętności wypełniania nałożonych na siebie obowiązków.

Nie zdawał sobie sprawy, że zmiana ta została umiejętnie dokonana przez starszych, jego nauczycieli. Przez wiele lat nie wiedział także jeszcze jednej rzeczy, że został wybrany przez najwyższą radę, aby ostatecznie zastąpić Gregory'ego Camerona na stanowisku prezydenta, kiedy wycofa się on z aktywnego członkostwa w radzie.

Nagle przed oczami jego umysłu, pojawiła się twarz. Była to twarz dziewczyny, z długimi złotymi warkoczami. Znał ją przez całe swe życie, tak samo jak znał wszystkich żyjących w kolonii ludzi. Ale podczas gdy kiedyś, jako dziecko, traktował ją jako jedną z wielu dziewczyn pływających w basenie lub siedzących razem z nim w klasie, później jej twarz zaczęła tworzyć centralny punkt każdej grupy ludzi, w której się znajdowała.

W basenie, gdzie spędzał większość swego wolnego czasu, dziewczyny wokół niego subtelnie zmieniły się z po prostu dziewczyn, w Mary i inne dziewczyny.

Potem, pewnego dnia po prostu zostawił Jimmy'ego i Arta i zaczął pływać razem z Mary. Nie zdawał sobie sprawy z tego że to zrobił, aż wreszcie rozejrzał się i zobaczył Jimmy'ego i Arta po drugiej stronie basenu.

Gerald uśmiechnął się, przypominając sobie swoje zażenowanie i nagłą świadomość, że może cieszyć się samotnością z Mary. Po dzisiejszym dniu, będzie miał już prawo do zawarcia małżeństwa. W chwili, gdy stanie się pełnoprawnym członkiem rady generalnej, miał zamiar poprosić Mary aby została jego żoną.

Zapaliły się światła. Gerald wstał i przeciągnął się. Następnie wyszedł na korytarz, aby wziąć poranną kąpiel w basenie.

Zaraz za nim pojawili się Art i Jimmy.

Art miał dzisiaj zostać pełnoprawnym telepatą, w radzie generalnej. Jimmy nie wykazywał żadnych specjalnych umiejętności. On miał zostać zwykłym członkiem rady bez jakiejś specjalnej funkcji.

Gerald wykręcił ciało w wodzie i zanurzył się aż na dno basenu. Potem pływał pod wodą prawie przez pięć minut, aż musiał w końcu musiał wypłynąć na powierzchnię, żeby złapać powietrze.

Zrobił to akurat w chwili, by zobaczyć, jak Art robi długiego nurka w jego stronę. Głowa Arta przebiła powierzchnię wody kilkanaście stóp od niego.

— Cześć, Art — powitał go.

— Cześć, Gerald. Co za dzień dzisiaj!

— Mówiono mi, że masz duże zdolności psychiczne widzenia. Wchodzisz w tę nową gałąź telepatów? — zapytał Gerald.

— Tak myślę — odpowiedział Art.

— To interesujące, móc studiować głębokość czasu w logice i matematyce — powiedział Gerald. — Zazdroszczę ci, że potrafisz bezpośrednio zobaczyć rzeczy, które ja widzę tylko abstrakcyjnie. W każdym razie, jak wygląda hipersfera?

— Nie wiem — odparł Art z uśmiechem. — Nigdy jej nie widziałem. Hiperwizja, czyli zdolność psychiczna widzenia, jak ją nazywasz, nie pozwala zobaczyć hiperkształtu jako całości; tylko jego części.

— Wiem — stwierdził Gerald. — Jeśli nazwiemy sferę hiperdyskiem bez grubości, to ty możesz zobaczyć hiperdysk o pewnej grubości, a nie hipersferę.

— Zgadza się — odpowiedział mu Art. — Ale moim celem w życiu jest aby móc widzieć coraz grubsze hiperdyski, aż w końcu zobaczę hipersferę.

I prawdopodobnie będzie ona wyglądać dokładnie tak samo jak zwykła sfera.

Obaj mężczyźni roześmiali się.

Do ich śmiechu dołączył trzeci głos. To był doktor Sorenson. Obaj młodzi ludzie obrócili się w wodzie, aby go powitać.

— Wiecie — powiedział dr Sorenson kiedy odpowiedział na ich powitanie, — mamy szczęście, że żyjemy w pokoleniu które jako pierwsze dowiedziało się o czym mówią Łupieżcy. Oni wciąż nie wiedzą, o czym mówimy my, tak więc jesteśmy całkowicie bezpieczni. Przywykliśmy do nieco gwałtownego zachowania, kiedy pomyślimy o tym jak sklasyfikowali ludzką rasę jako nieinteligentną.

— Nie wiedzieliśmy, że nie myślą oni w ten sposób o poszczególnych ludziach i że tak naprawdę nie wiedzą, czym jest indywidualny człowiek. Zawsze interpretowaliśmy to co mówili, w kategoriach naszych własnych pojęć. Gdy powiedzieli, że istoty ludzkie nie są inteligentne, mówili o naszej rasie jako całości. Nie mają pojęcia o myślących istotach, płaskich w czasie. Dla nich jesteśmy mikroskopijnymi przekrojami organizmu całej rasy.

— Zastanawiam się, jak tak naprawdę wyglądamy dla Łupieżców? — spytał Gerald.

— Mogę ci to powiedzieć — powiedział Artur. — Wyobraź sobie, że wisi ci z głowy całe mnóstwo luźnych sznurków – albo kosmyków włosów rozwianych na wietrze. Każdy ucieka we własną stronę, przy najlżejszym muśnięciu byle powiewu. To ludzka rasa, gdy była wolna.

— Kiedy umieścili nas w zoo, było to równoznaczne ze związaniem rozwianych kosmyków w jednym ustalonym miejscu i obcięciu wszystkich tych, które nie dały się związać, żeby nie zmieszały całej fryzury.

— To mniej więcej prawda — zgodził się dr Sorenson. — Przepraszam, chłopcy — powiedział, widząc, że do basenu wchodzi jego żona. Popłynął jej na spotkanie.

Arthur Smith stał przy wejściu do pomieszczeń telepatów. Otwór wejściowy zasłonięty był grubą kotarą z ludzkich włosów. Był w środku już wiele razy, i dokładnie wiedział, co znajdowało się po drugiej stronie tej zasłony. Jednak wcześniej przychodził tu jako uczeń i miał wyznaczone godziny, przeznaczone na szkolenie nowicjuszy. Ponadto był tylko jednym z wielu.

Teraz stał przed wejściem sam. Po drugiej stronie czekali na niego mistrzowie telepatów.

Dopóki on, Gerald i Jimmy nie wyszli na świat zewnętrzny, na pełną przygód półdniową wycieczkę, sale te nie niosły ze sobą żadnej specjalnej aury tajemnicy. Zbierali się tutaj zwykli ludzie, ze specjalnym talentem do czytania myśli, aby odczytywać umysły Łupieżców.

Ale w czasie ostatnich czternastu lat, które upłynęły od tej chwili, pomieszczenia te stały się siedliskiem wspaniałych tajemnic. Telepaci stali się niemal, chociaż nie do końca, Łupieżcami, wykorzystując swoje atuty

umysłowe. Mówiąc pojęciami odległości czasowych, stali się bardzo krótkowzrocznymi Łupieżcami, stopniowo jednak zwiększając odległości czasowe, na które potrafili patrzeć.

Teraz miał zostać jednym z członków tej tajemniczej rady.

Kurtyna gwałtownie się odsunęła i ze środka wyjrzał na niego Harold, jeden ze starszych telepatów, którego nieco znał.

— No cóż, Arthurze — powiedział Harry. — Nie zajdziesz zbyt daleko, tak stojąc. Wejdź. — Potem się uśmiechnął.

Art uśmiechnął się w odpowiedzi i przełknął strach. Przeszedł przez próg, wchodząc do sali rady.

Zasłona, która ponownie opadła, odcięła większość zewnętrznych odgłosów z korytarza.

W sali znajdowało się piętnastu ludzi, siedzących z plecami opartymi o ściany, w uniwersalnej pozycji kucającej. Ich długie, spływające brody sprawiały, że Art, ze swoim długim na cal zarostem, poczuł się bardzo młody. Wiedział jednak, że darzą go ogromnym szacunkiem. Mówili mu już, że ma długi wzrok; dłuższy niż ktokolwiek inny w kolonii.

W tej sali nigdy nie powiedziano ani słowa. Na długo przedtem zanim wtajemniczony osiągnął stan rozwoju, który czynił go uprawnionym do zasiadania w radzie telepatycznej, dowiadywał się już jak rozmawiać płynnie z innymi telepatami, bez słów wypowiadanych na głos.

Artur usiadł przy samym wejściu. Sięgnął myślą i poczuł, że kontaktuje się z umysłami wszystkich siedzących wokół niego. Prowadzili właśnie badania w pewnym określonym kierunku. Podążał za ich myślami, tracąc świadomość własnego ja, dopóki nie połączył się z nimi i nie zabrał się wraz z nimi.

Minęła godzina. Działy się rzeczy, które Arthur był w stanie wyczuć tylko mgliście. Potem, bez żadnego ostrzeżenia, zdawało się jakby coś pstryknęło mu w głowie.

Szybko otworzył oczy. Sala obrad zniknęła. Otaczały go tylko te dziwne roślinne twory, które on a Gerald i Jimmy widzieli, kiedy wyszli ze strumienia, czternaście lat temu. Wokół niego stali członkowie rady.

— Widzę, że udało ci się — powiedział jeden z nich.

— Co się stało? — zapytał Arthur.

— No cóż — odparł telepata, — technicznie rzecz biorąc, przeniosłeś swoją świadomość do tego, co można by nazwać wyższą płaszczyzną czasową. Pomogliśmy ci trochę w tym procesie. Później będziesz mógł ROZSZERZAĆ swój świadomy umysł, zamiast go przenosić. Na razie, jednak to wystarczy.

— Ale mam ciało dokładnie takie samo jak moje! — zawołał Art.

— Oczywiście! — odpowiedział jeden z mężczyzn. — TO JEST twoje ciało. Albo raczej to jest część twojego ciała, tak samo jak ta, która pozostała w pomieszczeniu rady. Zazwyczaj nie jesteś go świadomy, co najwyżej w jakiś mglisty, niejasny sposób.

— Jak wydostaliśmy się z zoo? — zapytał Art.

— Po prostu obeszliśmy je. — Mężczyzna zauważył, że Art nie do końca zrozumiał. — Zoo jest jak kosmyk włosów użyty do związania kilku innych kosmyków. Łupieżcy nie zawracali sobie głowy tym, żeby zamknąć

nas całkowicie. Po prostu zamknęli nas w płaszczyźnie, w której istniała nasza świadomość. Przeskakujemy na tę płaszczyznę i, proszę bardzo, nie ma żadnego zoo, w którym mogliby nas trzymać.

— Ale czy oni nas tutaj nie widzą? — spytał Art.

— Jasne, że nas widzą, ale nie przejmują się tym, ponieważ myślą, że nie zdajemy sobie sprawy z tego co robimy. I może faktycznie tak jest.

— Chodźmy — ponaglił ich jeden z innych.

Grupa ludzi ruszyła szybkim truchtem między drzewami. Człowiek, który rozmawiał z Artem, biegł koło niego.

— Nazywam się Harvey Jansen — przedstawił się.

— Wiem — odpowiedział mu Art. — Jesteś wujem Esther Jansen. Mój Boże! Zupełnie się nie spodziewałem czegoś takiego. Dlaczego my wszyscy o tym nie wiemy?

— Wysoka rada uznała, że najlepiej zachować to w tajemnicy. Widzisz, gdyby wszyscy o tym wiedzieli, Łupieżcy mogliby się zaniepokoić i odciąć nas. W obecnej sytuacji, nie zwracają na nas uwagi.

Przez chwilę biegli w milczeniu. Po pewnym czasie wyszli z lasu na szeroką autostradę. Tutaj schowali się i obserwowali szybko pędzące samochody. W końcu nastąpiła przerwa w ruchu, rzucili się biegiem przez drogę.

Potem ruszyli szybkim marszem ścieżką, wiodącą lekko pod górę.

— Dlaczego nie mogliśmy wejść w tę płaszczyznę dokładnie tam gdzie chcieliśmy się dostać? — zapytał Art.

— Tak już jest — wyjaśnił Harvey. — To ciało i tamto które zwykle zajmujesz są jak sąsiednie kawałki liny. My tylko zmieniamy kierunek, w którym przechodzi ono przez kolejne płaszczyzny czasowe. Twoje ciało nadal pozostaje w sali obrad. Rozciągamy połączenie temporalne między nim, a tym, którego jesteś świadomy teraz. Ta analogia nie jest dokładna, ale powiedzmy. Jesteśmy w miejscu, które nasi przodkowie nazywali światem duchów. Musimy się jeszcze wiele o tym nauczyć, ale dotarliśmy tu! Mamy nadzieję, że wkrótce uda nam się wprowadzić w życie plan, który pozwoli nam przegonić Łupieżców z Ziemi. Wtedy będziemy mogli, jak mówi starożytne proroctwo, rozmnożyć się i napełnić Ziemię, wypełniając nasze przeznaczenie.

Czoło kolumny nagle zatrzymało się. Ci z tyłu dogonili je i popatrzyli naprzód. Może jakieś dwadzieścia stóp przed nimi, trzy stopy nad ścieżką unosiła się pulsująca bryła szarawej substancji.

— Jeden z Łupieżców — wyszeptał Harvey. — Nie zauważył nas jeszcze. Miejmy nadzieję, że w ogóle nas nie dostrzeże.

Art obserwował szarą plamę. Stopniowo zdał sobie sprawę z jej myśli.

Myśli te dotyczyły czegoś, co istota robiła w innej płaszczyźnie czasowej. To był artysta, malujący pejzaż.

Art stopniowo uświadomił sobie kształt jaki miała w tej innej płaszczyźnie. Nie mógł zobaczyć tego kształtu, ale wyczuwał go z myśli szarawej kropli.

Obserwowali Łupieżcę przez godzinę, a potem po cichu zaczęli się z powrotem przekradać ścieżką którą przyszli. Pokonali może z połowę drogi kiedy Art zobaczył mniejszą plamę poruszającą się przed nimi po ścieżce.

Jeden z ludzi podniósł złamaną gałąź i uderzył nią w drżącą masę. Rozbryzgła się na patyku.

— To było jakieś niewielkie zwierzę — wyjaśnił Harvey. — Gdybyśmy mogli przybyć tutaj we własnych ciałach, zobaczylibyśmy zwykłe zwierzę idące sobie ścieżką. Nagle padłoby ono martwe, bez żadnego widocznego powodu. Widzisz, umysł trzyma się pewnych ram, a to co się stało roztrzepało by ten umysł na pianę. Tak więc, to po prostu przestało bić serce biednego stwora. Atak serca! Ale pamiętaj: to, co widzisz, nie jest rzeczywistością. To iluzja pozycyjna, którą twój umysł interpretuje zgodnie z posiadanymi przez siebie koncepcjami. Nic więcej. Wiem co widzisz, ponieważ pamiętam, jak to wyglądało do mnie kiedy po raz pierwszy przez to przechodziłem. Właściwie to nie wygląda tak jak myślisz, że widzisz. Nauczysz się.

Grupa szła dalej, aż dotarli do miejsca, w którym byli kiedy Art obudził się po raz pierwszy w otoczeniu drzew. zatrzymał się. Niemalże w tej samej chwili Art poczuł, mdłości oraz zawroty głowy.

Potem siedział na piaszczystej podłodze pomieszczenia rady telepatów. Mrowiło go całe ciało i czuł się słabo. Kiedy zaczął się przewracać, jeden z mężczyzn pochwycił go i uspokoił, mówiąc mu, żeby zamknął oczy i odprężył się.

— Widzisz, Art — powiedział Harvey — kiedy na coś patrzysz interpretujesz ten obiekt zgodnie z pojęciami kształtu, który masz w swym umyśle. Jeśli nie możesz tego zrobić, twój umysł go odrzuca. Albo postępuje w taki sposób, albo to zmienia go w kształt, który jest ci znajomy w wyniku podświadomego procesu analogii.

Arthur i Harvey stali obok jednej z długich kamiennych płyt w jadalni. Wydawało się, że Harvey od samego początku wyznaczył siebie jako nauczyciela Arta.

— Wszystko we wszechświecie jest trwałe w czasie, jak również w przestrzeni. Niektóre rzeczy są bardziej trwałe w czasie niż inne. To jest, są one grubsze. Ich grubość w czasie, zależy od złożoności relacji między ich częściami. To znaczy, wszystko co zachowuje się jak funkcjonalna całość w naszej normalnej płaszczyźnie czasowej, jest trwałe w czasie. Prawa fizyki dla każdej płaszczyzny czasowej, są w rzeczywistości przybliżonym opisem kształtu czasowego.

— Kiedy przechodzimy w inną płaszczyznę czasową, pozwala nam to do pewnego stopnia, zerwać sznury zakotwiczone w naszej poprzedniej płaszczyźnie czasowej. Oznacza to, że zmieniamy tymczasowo tzw. prawa natury, wpływając na kształt czasowy danej rzeczy. To samo, nasi przodkowie nazywali cudami.

— Umysł jest kształtem grubym w czasie, zaś mózg jest przekrojem umysłu w płaszczyźnie czasowej. Kiedy, jak ty to widziałeś rozbiliśmy tę małą plamę, tak naprawdę na to zwierzę, czymkolwiek by ono nie było, runęła fala intensywnego szaleństwa, co sprawiło że jego serce pracowało zbyt szybko, dwukrotnie wzrosło ciśnienie krwi, a wszystkie jego mięśnie zacisnęły się w skurczu. Fizycznie doznało ataku serca, popękały mu naczynia krwionośne, i być może kilka kości uległo złamaniu zaś znaczna część wiązadeł zerwaniu.

— Ludzki umysł jest inny niż umysł zwierzęcy. Większość jego struktury znajduje się poza płaszczyzną czasu zajmowaną przez mózg. Prawdę mówiąc, mózg można zniszczyć nie niszcząc reszty, trwałej w czasie struktury umysłu!

— Właśnie zaczynamy się trochę uczyć o tym wszystkim. Większość ludzi pojawia się na świecie z całkowicie płaską czasowo świadomością. Niektórzy jednak rodzą się ze świadomością grubego czasu. Kiedyś, w czasach przed przybyciem Łupieżców, gdy wszędzie na świecie było wiele milionów ludzi, istnieli mentaci, prorocy, widzący. Ci ludzie posiadali zmysły wyczuwające grubość czasu. Tym dobrym wystarczyło że po prostu spojrzeli na kogoś i potrafili powiedzieć wszystko o nim oraz o ogólnym kształcie jego przeszłości i przyszłości.

— Jeszcze nie wiemy zbyt wiele na ten temat – mam na myśli strukturę czasową umysłu. Ujmijmy to w ten sposób. Kiedy byłeś mały widzieliście, jak splatają zasłony z włosów, które zakrywają drzwi do naszych pomieszczeń rady. Powiedzmy, że to co robisz w tej chwili, przypomina przetykanie włókna włosa przez podłużne nici. Te podłużne nici, wątki, odpowiadają niezmienionej strukturze czasowej umysłu, która położona jest w przyszłości, zaś ukończona, utkana część to przeszłość od chwili twojego pojawienia się na świecie.

— Dalej możemy sobie wyobrazić podłużne wątki jako trwałe w czasie, poruszające się w tym czasie z inną prędkością niż sam mózg, a kiedy tak powoli prześlizgują się one przez mózg, wplatana jest w nie osnowa, która wiąże podłużne wątki razem w określony wzór. W końcu gdy ostatnie włókno zakończy podłużne wątki wyślizgujące się z tkacza, to jest mózgu, otrzymujemy ukończoną tkaninę, to jest to co starożytni zwali duchem zmarłego. To co mówię, to strasznie toporna analogia, ale przynajmniej daje ci jakieś pojęcie jak to wszystko działa.

— To pierwszy krok jeśli chodzi o zrozumienie grubości czasu, i to wszystko, co jak do tej pory wiemy. Pierwszy krok.

— A teraz przypomnij sobie tę dzisiejszą przygodę w płaszczyźnie czasowej położonej bardzo blisko naszej normalnej. Powiedzmy, że mógłbyś przeżywać coś takiego, a jednocześnie w tamtej płaszczyźnie czasowej pójść popływać w basenie. W dodatku być świadomym tego co robisz w obu płaszczyznach czasowych, oraz być równie świadomym rzeczy dziejących się wokół ciebie w obu z nich. Przypuśćmy dalej, że pomnożymy to przez nieskończoność, i możesz mieć świadomość wszystkich płaszczyzn czasowych, które przecinają twoje pełne, czasoprzestrzenne ciało oraz umysł.

— Twoja AKTYWNOŚĆ mogłaby być ograniczona do jednej płaszczyzny czasowej, ale przypuśćmy, że twoja ŚWIADOMOŚĆ rozkłada się równo na wszystkie płaszczyzny czasowe twojego umysłu, a nawet na pewną odległość przed i za tymi najdalszymi, na które się rozciągasz. Tak samo jak w przestrzeni możesz widzieć oczami na pewną odległość do przodu i do tyłu. Wtedy posiadałbyś ten dodatkowy zmysł, który mają Łupieżcy, a którego nie mamy my. Pon-pon-pon, zmysł czasu.

— Byłbyś w stanie zobaczyć bezpośrednio połączenia funkcjonalne między obiektami i w ich obrębie, które my musimy odkrywać za pomocą

logiki oraz eksperymentu. Mógłbyś spojrzeć na człowieka, widziałbyś cały splot jego przeszłości oraz przewidywał, jaki kierunek ten splot może obrać w niedalekiej przyszłości.

— Nie potrafiłbyś jednak zawęzić swej grubej w czasie wizji do jednej płaszczyzny, tak jak nie możesz zobaczyć płaskiego przecięcia tej kapusty, którą właśnie jem. Twoja wiedza naukowa i matematyka byłyby grube w czasie!

— Czy zaczynasz może już dostrzegać choćby mglisty przebłysk tego, jak działa umysł Łupieżcy, Art?

— Niemalże jacy oni są naprawdę! — zawołał przejętym głosem Art.

— Nie oszukuj się — stwierdził sucho Harvey. — Za jakieś sześć miesięcy od dziś, zaczniesz zdawać sobie sprawę z tego, jak niemożliwe jest, aby umysł człowieka był w stanie to pojąć.

ROZDZIAŁ VII

Dwa miesiące później, Artur zrobił z Harveya częściowego kłamcę. Obraz głębi czasu Harveya wywarł na Arturze większe i bardziej żywe wrażenie, niż można by to sobie wymarzyć.

Każdego dnia, kiedy Artur towarzyszył pozostałym telepatom w ich wyprawach do innych sąsiednich płaszczyzn czasowych, młody człowiek starał się zachować świadomość obu płaszczyzn, działać w obu z nich jednocześnie.

Po dwóch miesiącach udało mu się to. Kiedy grupa powróciła do sali rady i wszyscy otworzyli oczy, zobaczyli że Artur właśnie wstaje z podłogi, kończąc zapisywanie na piasku jakiś dłuższego tekstu.

Tekst stanowił szczegółowy opis tego, co robili w innej płaszczyźnie czasowej. A przecież Art był tam razem z nimi!

To był dopiero początek. Stopniowo wzrok czasowy Arta wydłużał się, aż zmienił się w prawdziwy Pon-pon-pon.

Zaczął brać udział w posiedzeniach wysokiej rady jako członek honorowy, ponieważ prawo kolonii zabraniało przyjęcia go jako regularnego członka, do czasu kiedy nie będzie miał co najmniej dwudziestu sześciu lat.

Nadszedł dzień, kiedy cierpliwie próbował im pokazać, jak głupie było myślenie o trzech rzeczach jako o trzech rzeczach i wyjaśnić im, jak te trzy rzeczy naprawdę wyglądały.

Tego dnia wysoka rada westchnęła z ogromną ulgą. To, na co tak rozpaczliwie liczyli, wydarzyło się za ich czasów – człowiek z potrójnym zmysłem czasowym Łupieżców.

Być może starożytne proroctwa wreszcie się spełnią, a współczesny Dawid powali olbrzymiego Łupieżcę.

Nieśmiało zasugerowali mu ten temat. Podczas przerwy w próbach Arthura wyjaśnienia im, czym były według Pogromców trzy rzeczy, wstał Gregory.

— Arthurze, mój chłopcze — rozpoczął. Rozejrzał się błagalnie po pozostałych członkach rady. Kiwnęli głowami, wyrażając zgodę na tę rozmowę. — Powiem ci o rzeczach, których normalnie byś się nie dowiedział, zanim nie zostaniesz pełnoprawnym członkiem wysokiej rady. Być może ty, podobnie jak wielu innych nowych członków rady, zastanawiałeś się czasami, dlaczego ze wszystkich ludzi którzy żyli w czasie inwazji Łupieżców, to nasi przodkowie, nie zostali zabici. Otóż był po temu powód.

— W starożytnej Biblii zawarte były pewne proroctwa, które zostały odebrane w prawdziwym świetle przez jednego człowieka. Być może on

osobiście, nie widział ich w prawdziwym świetle. Niemniej jednak to, co dostrzegł, uratowało resztki rasy, której jesteśmy niedobitkami. Podążaliśmy za jego naukami aż po dzień dzisiejszy, przez tysiąc lat, w nadziei, że proroctwa te spełnią się co do ostatniego. Wysłuchaj więc uważnie historii, którą mam zamiar ci opowiedzieć.

— Jonathan Hale był uznawany za fanatyka nawet przez fanatyków. Wędrował od miasta do miasta, zatrzymując się na rogach ulic by głosić swą ewangelię każdemu, kto zechciał go słuchać. Paru ludzi wysłuchało go uważnie.

— Głosił on, że na ludzkość zstąpi straszna zagłada i że został wybrany, aby uratować rasę. Głosił dalej, że tylko nieliczni wybrani zostaną ocaleni, i tylko wtedy, gdy odrzucą wszelkie więzi, łączące ich ze światem.

— Twierdził, że on i jego zwolennicy muszą całkowicie odwrócić się od świata, porzucając całą świadomość własnego ja, odrzucając ubrania, gotowane jedzenie i mięso, żyjąc jako zwierzęta, w codziennym upodleniu.

— Powiedział, że w określonym dniu musi zabrać swoich zwolenników z dala od cywilizacji, zaś w siedem lat po tej dacie, na Ziemię zstąpi zagłada. Spadnie na nią deszcz duchowego ognia i pochłonie wszystkich z wyjątkiem przez niego wybranych. W ciągu tych siedmiu lat, wybrani muszą się doskonalić w pokorze, porzucając wszelkie myśli o wygodach i cywilizacji, inaczej zginą wraz z resztą. O dziwo, ci którzy nawrócili się na jego doktrynę, nie byli to sami ignoranci i ludzie przesądni, ale można by ich określić jako intelektualny przekrój całego ludzkiego społeczeństwa.

— Przez trzy lata głosił swoją religię i proroctwa, a potem zebrał swych wyznawców i wywiózł ich w miejsce przylegające do zoo w Brookfield, tuż za granicami Chicago. Zbudowali tam wysoki parkan, oraz poczynili ustalenia z bankiem, który miał działać jako powiernik ich funduszy, i zapewniać dostawy świeżych produktów do bram ich Sanktuarium, jak to nazywali.

— Pozostawali tam przez siedem lat. Prawie co do dnia, zgodnie z zapowiedziami, przybyli Łupieżcy i wybili całą ludzkość z wyjątkiem tej niewielkiej grupy. W jakiś sposób, nie potrafimy tego zrozumieć, zniszczenie dokonało się poza fizyczną płaszczyzną, w której utrzymujemy naszą świadomość.

— Podejrzewamy, że każdy szczegół z tych siedmiu lat wycofania się ze świata – nawet lokalizacja Sanktuarium tuż koło zoo, był absolutnie konieczny dla naszego przeżycia. Łupieżcy tylko przetransportowali wszystkie zwierzęta z ogrodu zoologicznego, i razem z nimi tych pięciuset ludzi, do miejsca specjalnie dla nich zaprojektowanego i zbudowanego. Do tego właśnie miejsca, w którym dzisiaj żyjemy.

Nasz założyciel i pierwszy przywódca żył jeszcze przez jedenaście lat po przybyciu Łupieżców. Kiedy śmierć była bliska, wygłosił swe ostatnie proroctwo. Brzmiało ono: „Przez tysiąc lat będziecie żyli jak zwierzęta, jak wszystkie inne bestie. Wtedy spomiędzy was powstanie Zbawca, który powali Bestię i wypędzi ją stąd. Potem ponownie rodzaj ludzki zamieszka na Ziemi. Ale nie jako ludzie. Oni będą podobni bogom, między ludźmi. Podobni Temu, który przyjdzie przed nimi.”

— Potem umarł. Aż do dnia dzisiejszego świętym obowiązkiem wysokiej rady, było dopilnowanie aby każdy skrawek wiedzy odziedziczonej z przeszłości, zachował się przez wszystkie pokolenia, oraz aby utrzymać niezmieniony sposób życia naszej społeczności, tak byśmy w oczach Łupieżców wyglądali tak samo, jak zawsze. To było polecenie naszego założyciela. Dopiero w ostatniej dekadzie zaczęliśmy rozumieć prawdziwe powody stojące za każdym jego nakazem. Teraz wydaje nam się, że jego ostatnie proroctwo zaczyna się spełniać. Nie wiemy jak. Tylko ty możesz nam to powiedzieć. I tylko ty możesz tego dokonać!

Kiedy Gregory usiadł, wśród członków rady zapadła cisza, brzemienna w niespokojne nadzieje ich wszystkich. Spoglądali na Arthura.

— Tak! — oznajmił w końcu Arthur, z dziwnym zdumieniem w swym głosie. — Myślę, że można tego dokonać. Widzę, jak można tego dokonać. Czemu nie! To proste!

Zachichotał. Chichot zmienił się w śmiech, a śmiech potężniał, aż Art zaczął tarzać się po podłodze, z trudem łapiąc oddech. Inni zaczęli się już niepokoić, zanim ostatecznie uzyskał pewną kontrolę nad swoją wesołością.

— Och, zdaję sobie sprawę, że nie możecie zrozumieć, co w tym jest takiego śmiesznego — powiedział w końcu. — Przy waszym płaskim poczuciu humoru, tracicie naprawdę całe mnóstwo dobrej zabawy. Do jutra uruchomię siły, które wypędzą Łupieżców z tej planety.

Odmówił udzielenia dalszych wyjaśnień.

Art zatrzymał się na brzegu basenu i popatrzył badawczo po jego powierzchni. Potem dał długiego, płytkiego nurka i kilka razy leniwie się odepchnął, zbliżając się do Geralda i Mary.

— Cześć, Art — powitał go Gerald. Mary tylko uśmiechnęła się na powitanie i nic nie powiedziała.

— Chciałbym z tobą chwilę porozmawiać na osobności, Gerald — powiedział Art.

Gerald spojrzał zaskoczony na Mary.

— O.K. — odparł. — Mary, wybaczysz nam na chwilkę?

— Proszę bardzo — odpowiedziała Mary. — Jeśli o mnie chodzi, wszystko jest w porządku.

Artur i Gerald popłynęli w kierunku pustej części basenu.

— Co tam? — zapytał z zaciekawieniem Gerald.

— Pamiętasz o naszej wspaniałej przygodzie, kiedy mieliśmy po siedem lat? — zapytał Artur.

— Jasne — stwierdził ze śmiechem Gerald. — Jak mógłbym o tym zapomnieć?

— Spotkaj się ze mną dzisiaj wieczorem. To samo miejsce, o tej samej porze — mówiąc to Art uśmiechnął się szeroko.

— Żartujesz? — zawołał Gerald.

— Nie — zabrzmiała niezobowiązująca odpowiedź.

Gerald popatrzył na Arthura, zdziwiony.

— Tylko utrzymaj to w pełnej tajemnicy — ostrzegł go przed odpłynięciem Arthur

Następnie wypatrzył Jimmy'ego i kazał mu obiecać, że on także mu pomoże.

Po tym wszystkim, udał się do sali rady telepatów i przeprowadził cichą konsultację z jej członkami.

Arthur podniósł pokrywę pustej puszki i wszedł do środka.

— Pamiętajcie — powiedział, zanim zniknął w środku i pozwolił aby pokrywa opadła na miejsce. — Kiedy usłyszycie, że otwierają się wrota, Nie myślcie o niczym innym, tylko o kapuście. O NICZYM, TYLKO O KAPUŚCIE. Resztę zostawcie mnie.

Zrobili to tak, że nie musieli długo czekać. Po mniej niż pięciu minutach drzwi od korytarza zatrzasnęły się z hukiem i chwilę później rozsunęły się wrota w ścianie.

Gerald podobnie jak wtedy, czternaście lat temu, poczuł że coś go unosi do góry, przesuwa, i upuszcza z głośnym łomotem. Rozpoczęła się sekwencja tych samych okresów hałaśliwego przemieszczania się i przerw na odbieranie dalszych ładunków.

Zachichotał cicho, bez przerwy powtarzając w myślach: „Jestem kapustą. Jestem kapustą. Jestem tylko jedną z główek kapusty.” Nie wiedział dlaczego ma to robić, ale jeśli Art uważał że powinien, musi to mieć jakiś związek z telepatią lub czymś podobnym.

Ostrzeżony przez swe wcześniejsze doświadczenia, kiedy w końcu poczuł że coś go podnosi i zdejmuje z ciężarówki, wziął kilka głębokich wdechów i wstrzymał ostatni, kiedy puszka zaczęła się przechylać.

Zanurkował pod powierzchnię wody z wystarczającą ilością powietrza w płucach aby wystarczyło to na dobre sześć minut. Tym razem Art i Jimmy zostali wyrzuceni przed nim i już na niego czekali.

Art zwinnie płynąc, poprowadził ich w dół rzeki. Gerald i Jimmy podążali za nim. Zanim dotarli do lasu, byli już znacznie z przodu, przed pływającymi śmieciami.

Art obserwował brzeg rzeki, szukając znanego punktu orientacyjnego. W końcu skręcił w jego stronę. Trzej mężczyźni wyszli na brzeg w miejscu, w którym między drzewa wiodła niewyraźna ścieżka.

— Co teraz zrobimy? — spytał Gerald.

— Coś, co zawsze chciałem zrobić — odparł Arthur. — Posiedzimy tu sobie przez parę dni i będziemy podziwiali krajobraz. Możecie spać, czuwać lub myśleć o czymkolwiek chcecie, ale musimy trzymać się razem. Nic nam tu nie grozi, ponieważ potrafię dostrzec każdego Łupieżcę na długo przedtem, zanim on nas zobaczy.

Z tymi słowami wyciągnął się na plecach, wkładając ręce pod głowę i wkrótce zasnął na miękkiej trawie.

Przez trzy dni siedzieli w jednym miejscu. Gerald i Jimmy często robili się niespokojni i zaczynali krążyć dookoła, ale Arthur przeważnie spał.

Trzeciego dnia obudził się nagle i wstał pospiesznie, pokazując gestem swoim towarzyszom, aby poszli za nim.

Weszli ścieżką kilka metrów pomiędzy drzewa i schowali się za nimi. Wkrótce na ścieżce pojawiły się dwa dziwnie wyglądające stworzenia. Oba miały dziesiątki długich, wężowych ramion, oraz wielką liczbę podobnych do ludzkich oczu, spoglądających we wszystkich kierunkach z nasady każdego ramienia.

Pomiędzy kształtami ich ciał były ogromne różnice. Jedno z nich miało długi, ślimakowaty dół tułowia. Drugie szło na rzędach krótkich nóg.

Zniknęły na ścieżce, nie widząc trójki ludzi. Godzinę później wróciły tą samą drogą.

Po ich odejściu trójka ludzi wróciła na ścieżkę. Arthur wydawał się być niezmiernie zadowolony z siebie z jakichś nieznanych powodów.

— Jaki jest sens tego całego bzdurnego siedzenia w lesie? — spytał zaciekawiony Gerald. — I czemu jesteś teraz taki zadowolony?

— Gdybym ci to powiedział, mogłoby to wszystko popsuć — odparł Arthur. — Za godzinę lub dwie, nie będzie to już miało znaczenia, ale w tej chwili mogłoby to zniszczyć wszystkie moje plany.

Zachichotał z jakiegoś tajemniczego żartu i natychmiast wrócił do spania. Pół godziny później obudził się nagle.

Otworzył oczy i powiedział:

— Jeśli pojawi się jakiś Łupieżca, nie zwracajcie na niego uwagi. Nie uda mu się do was dotrzeć

Potem ponownie zasnął.

Słońce zaczęło się już zniżać ku zachodowi, gdy Gerald usłyszał zza zakrętu ścieżki szmer dźwięków. Wkrótce pojawił się na niej tłum Łupieżców.

Kiedy zobaczyli trójkę ludzi, na chwilę się zatrzymali, potem ruszyli biegiem do przodu. Pierwszy z nich znajdował się w odległości zaledwie dziesięciu stóp, kiedy upadł. Bez żadnego wyraźnego powodu potknął się i przewrócił.

Zdawało się jakby jakaś niewidzialna kosa przesunęła się po szeregach Łupieżców, powalając ich na ziemię.

Gerald i Jimmy spoglądali zdumieni, nic nie rozumiejąc, zaś Arthur nadal spokojnie spał.

Zmrok przekradł się cicho między drzewami i bezdźwięcznie wessał każdy najsłabszy nawet strumyczek światła, zmieniając go w słabowitą poświatę. Potem pomaszerował dalej, pozostawiając po sobie tylko ciemne zarysy krajobrazu, pełne mroku oraz tajemniczości, w miejscach gdzie niedługo wcześniej były one wyraźnie i jasno widoczne.

Ciała martwych Łupieżców leżały w ciemności jakby w zadumie – stanowiąc zagrożenie tylko dla spokoju ducha dwóch oszołomionych ludzi, atakując go wydumanymi szmerami i skrytymi w koszmarach ciemności i wyobraźni ruchami.

Nad Geraldem, Jimmym oraz śpiącym Arthurem trzymało straż dwóch telepatów z rady, niewidocznych dla obu czuwających ludzi. To oni byli odpowiedzialni za wybicie Łupieżców, tak jak niegdyś zabijało się zwierzęta.

Arthura jednak tak naprawdę wcale z nimi nie było. Znajdował się daleko stamtąd zarówno w przestrzeni jak i w czasie. Z grubsza mówiąc, był dziesięć tysięcy stóp nad powierzchnią Ziemi i od jednej do dwóch minut w przeszłości, w płaszczyźnie czasu przez którą Ziemia przeszła minutę wcześniej.

Obserwował panoramę czasoprzestrzeni, w której działanie rzeczywistości było bezpośrednio widoczne dla tych, którzy posiadają możliwość postrzegania czasu. Oglądał nieskończoność czasoprzestrzeni jako całość. Nieskończona liczba luźno powiązanych wszechświatów nieskończonych kosmosów, podróżujących przez czas w ścisłym układzie (jeden z nich był wszechświatem normalnej ludzkiej percepcji), widoczna była dla jego zmysłu Pon-pon-pon jako jedna ciągła całość. Przyczyna i skutek rysowały się jako widoczne sznurki, łączące poszczególne obiekty. Związki funkcjonalne tworzyły stałe konstrukcje, sztywno określone, a jednak podatne na zmiany dla kogoś, kto potrafił wysyłać swoje myśli naprzód i wstecz w kontinuum czasoprzestrzennym, aby kierować całością czasoprzestrzennego organizmu.

Obserwował Twór o nieopisanym kształcie. Twór ten również go obserwował, nieprzyjaźnie, lękliwie a wreszcie ze świadomością nieuchronnej porażki.

Kiedy tak spoglądał na małych ludzików z Ziemi, świadomość porażki łączyła się w jego oczach z pewnym zdziwieniem i respektem.

Centralny umysł rasy Łupieżców spoglądał na splątany, czterowymiarowy wzorzec Tworu, którego korzenie stanowiła ludzkość, i widział wcześniej niezauważalne unoszące się swobodnie niewielkie wypustki.

Popatrzył na pasma swego własnego Tworu i zobaczył te same wypustki, łapczywe i zachłanne – zbyt małe i zbyt krótko rozciągnięte w czasie, aby chwytać i odrzucać w otaczającą go przestrzeń.

Włókna nerwowe prowadzące od Centralnego Umysłu, oderwały się od ziemskiej płaszczyzny i zwijały się niepotrzebne do centralnej masy czasoprzestrzennej.

Następnie, powoli i majestatycznie jedna duża grupa korzeni Tworu przesunęła się z Ziemi, w kosmos. Podążyła za nią kolejna grupa, a potem jeszcze jedna, aż w końcu Twór uwolnił się od wszystkich więzi łączących go z Ziemią.

Jak czterowymiarowa meduza, której dryfujące macki sięgały przez czasoprzestrzeń, Twór odlatywał w kosmos. Po kilku chwilach lotu, skurcze jego macek, zwolniły, a później ustały. Chwilowe, żarłoczne wypustki, które całymi rojami wynurzały się z węzłów na końcach czasoprzestrzennego ciała stworzenia, stopniowo zaczęły rzednąć aż wreszcie zniknęły.

Łupieżca odsuwał się od Ziemi coraz dalej i dalej, aż w końcu zniknął – ruszając w kolejną samotną pielgrzymkę przez przestrzeń i czas, w poszukiwaniu świeżych planet.

Dopiero wówczas Arthur zakończył swą samotną straż.

ROZDZIAŁ VIII

Gerald potrząsał śpiącym ciałem Arta.

— Art! — krzyknął po raz setny. — Obudź się!

Art w końcu otworzył oczy.

— Dzięki Bogu, że wreszcie się obudziłeś — powiedział Gerald. — Próbuję cię docucić już od kilku godzin. Te wszystkie smugi ognia w nocy, wzbijające się z ziemi i strzelające w kosmos. Co to wszystko znaczy?

— Łupieżcy uciekają swoimi statkami kosmicznymi — rzeczowo odparł Art. — Odlatują już na dobre. Wracajmy do zoo i uwolnijmy wszystkich pozostałych.

Z tymi słowami wstał i przeciągnął się, rozciągając skurczone mięśnie.

Prawie dwie godziny później, trójka ludzi szła mrocznym tunelem. W końcu Arthur zatrzymał się przed drzwiami w ścianie, z przymocowanymi do nich dźwigniami, służącymi do ich otwierania i zamykania.

Nacisnął jedną z nich i drzwi rozsunęły się, chowając się w ścianie, odsłaniając wejście do pomieszczeń śmietnika w budynku, który od tysiąca lat był domem dla ludzkości.

Po drugiej stronie czekał tłum ciasno stłoczonych mężczyzn i kobiet. Na jego czele stał Gregory Cameron, prezydent ludzkości, z radosnym uśmiechem na twarzy.

— A więc, dokonałeś tego! — wykrzyknął. — Nikt nie wie, jak to się stało, ale Łupieżcy odlecieli, i to dzięki tobie. Nie jesteśmy w stanie nawet w części zrozumieć straszliwych mocy, które znajdują się w twym posiadaniu, ale czy mógłbyś dać nam choćby mglisty zarys, jak ci się udało tego dokonać? Jeśli nie będziesz w stanie wbić tej wiedzy do naszych płaskich w czasie umysłów, to może chociaż uda ci się przekazać nam to w formie jakiejś analogii. Da nam to przynajmniej złudzenie, że wiemy co się stało.

Art zachichotał. Pojawiło się niebezpieczeństwo, że znowu chichot ten może zmienić w atak niepohamowanego śmiechu, ale z ogromnym wysiłkiem utrzymał nad nim kontrolę.

— Zdaję sobie sprawę, że aby zobaczyć co się wydarzyło, niezbędny jest Pon-pon-pon — stwierdził — i nie jestem w stanie opisać wam dokładnie tego co widziałem, tak jak to wyglądało dla mnie, oraz tak aby miało to sens dla was. Ale całość wydarzeń związanych z moim planem, jest dosyć łatwa do zrozumienia. Czy pamiętacie gorączkę, której Gerald i Jimmy dostali po naszej wyprawie do świata zewnętrznego, kiedy mieliśmy siedem lat?

Gregory skinął głową, zaś stojący za nim ludzie słuchali z zapartym tchem.

— No cóż — mówił dalej Arthur. — Gorączkę wywołał mikroorganizm, zarazek łagodnej choroby, która dotyka Łupieżców. Kiedy atakuje on któregoś z nich, chory przez kilka dni czuje lekkie duszności, a potem organizm odrzuca infekcję.

— Taka była przyczyna choroby, która przeszła przez naszą kolonię. Ale w naszych ciałach zarazek ten znalazł dziwne środowisko.

Przerwał na chwilę, zbierając swe myśli w bardziej klarowną formę.

— Zarodek działał na Łupieżców i na nas w podobny sposób, przyspieszał metabolizm białych ciałek we krwi. Sprawiał, że mnożyły się one szybciej i szybciej ginęły. Efektem końcowym był niewielki wzrost ilości toksyn odpadowych w krwiobiegu, który powodował lekką gorączkę u nas i lekkie duszności u Łupieżców.

— ALE, w naszych ciałach drobnoustroje uległy niewielkiej mutacji. Jednocześnie nasze białe ciałka wytworzyły na nie odporność. Żyły one sobie obok siebie razem w naszej krwi, nie powodując już dla nas dalszych szkodliwych skutków.

— Widziałem bezpośrednio zależności, które by powstały, gdyby ten zarazek został ponownie wprowadzony do krwiobiegu rasy Łupieżców. Wystarczyło tylko, aby ktoś z nas wydostał się na zewnątrz i pozostawał na swobodzie wystarczająco długo, aby jakiś Łupieżca znalazł go i zaraził się tymi zmutowanymi zarazkami. W ciągu kilku godzin rozprzestrzeniłyby się tak bardzo, że niemożliwe byłoby zapobieżenie zarażeniu przez nie całej Ziemi. I właściwie, tak właśnie się stało.

— To tylko część całej sprawy — z tłumu za Gregorym odezwał się Harvey. — Art przewidział wszystko, co się wydarzy. Wyznaczył dwu z nas żeby pilnowali jego, Geralda i Jima, oraz zabili każdego Łupieżcę, który spróbowałby ich zaatakować. Reszcie z nas kazał bronić kolonii przed atakiem. Udało nam się łatwo tego dokonać, z powodu fundamentalnej słabości Łupieżców.

— Na czym ona polegała? — zapytał Gerald.

— Tak — powtórzył Gregory. — Na czym ona polegała? Zastanawiałem się, jak jeden człowiek z Pon-pon-pon, mógłby pokonać całą rasę, wyłącznie przy pomocy tego zmysłu. Wydaje się, że Łupieżcy powinni przewidzieć zbliżające się wydarzenia i uprzedzić je.

— Powiedz im, Art — poprosił Harvey.

— Dla Łupieżców, Pon-pon-pon stał się podstawowym zmysłem. Wzrok i słuch były u nich praktycznie w zaniku. Co więcej, prawie niemożliwe było skoncentrowanie się przez nich, na jednej płaszczyźnie czasowej, a już absolutnie niemożliwe, aby mogli DZIAŁAĆ tylko na jednej płaszczyźnie czasowej.

— Dla Łupieżców, a zwłaszcza dla Centralnego Umysłu rasy, byłem jak niesamowicie cienka brzytwa, odcinająca pasemko po pasemku czasoprzestrzenne wypustki całego ciała. W końcu udałoby się im nas zniszczyć, zbierając nasze własne czterowymiarowe pasemka, skręcając je w supły, wyciągając je z naszej głównej płaszczyzny i wyrzucając je w kosmos. Ale zarazek nie dał im na to zbyt wiele czasu.

— Widzicie, oni natknęli się na tę chorobę już wcześniej, na innych planetach, znali ją i wiedzieli że jedynym lekarstwem na nią było twarde

promieniowanie kosmiczne. Sądzą, że to jest jakaś powszechnie występująca zaraza, która istnieje na wszystkich planetach. Nie wiedzą, że przenoszą macierzyste zasoby tego zabójczego zarazka, razem ze sobą. Jego czasoprzestrzenne ciała są dla nich zbyt krótkie, aby mogli je zobaczyć swymi dekadenckimi zmysłami przestrzennymi.

— Tak naprawdę, to gdy wędrują przez wszechświat, za każdym razem pokonuje ich własne poczucie humoru. Wiem, że przekraczać to będzie wasze pojmowanie, ale dla nich mikroskop jest czymś tak straszliwie zabawnym, że nie mogą znieść nawet obecności czegoś takiego. W konsekwencji brakuje im trójwymiarowej koncepcji mikroorganizmów chorobotwórczych, a zarazek jest za krótki w czasie, aby mogli je dostrzec bez pomocy mikroskopu.

Gerald popatrzył krytycznie na swoje odbicie w lustrze. Zmarszczył brwi widząc na swej gładkiej opalonej twarzy, drobne zacięcie po brzytwie.

— Tak czy owak, odrobina cywilizacji — mruknął do siebie. Ale w głębi ducha wiedział, że nie o to mu chodziło.

Jego garnitur był źle skrojony według standardów XX-go wieku, ale dobrze pasował do jego atletycznej sylwetki. Buty – nigdy tak do końca nie przyzwyczaił się do butów.

Zmusił swoje dzieci do noszenia ich przez cały czas, poza łóżkiem, ale w zaciszu własnego pokoju sam zrzucał własne, aby pozwolić stopom na chwilę wolności.

Mary zawołała z dołu.

— Gerald!

— Tak, Mary — odpowiedział.

— Czy jesteś gotowy? Już prawie czas, na wyjście do kościoła.

— Idę, Mary — odparł Gerald.

Kiedy dotarli do kościoła, nabożeństwo już się rozpoczęło. Mary obrzuciła męża oskarżycielskim spojrzeniem, a potem skłoniła głowę.

Gregory Cameron modlił się. Łagodne tony organów niemal niesłyszalnie rozbrzmiewały religijną pieśnią. Przechowywane przez tysiąc lat w encyklopedycznych umysłach, przekazywane nienaruszone z pokolenia na pokolenie, instrukcje dotyczące budowy instrumentów muzycznych, a nawet niektórych melodii i słów, znanych w dwudziestym wieku, teraz zostały przywrócone do życia.

— O, Stwórco — mówił Grzegorz, — którego Istota JEST wszechświatem przestrzeni i czasu, i poza którą nic nie istnieje; my, twe dzieci, będące częścią Twej Istoty, dziękujemy jeszcze raz, i będziemy Ci dziękować każdego dnia przez wieki wieków, za zachowanie nas i wyzwolenie...

Jego głos brzmiał jednostajnie słowami modlitwy, rozbrzmiewał ponad pochylonymi głowami zebranych, stanowiących całą ludzkość – jej jądro, które pewnego dnia znów rozprzestrzeni się, by ogarnąć Ziemię.

Na parapecie otwartego okna usiadł wróbel i zajrzał do środka. Małpa o poważnej twarzy, siedziała leniwie na jednej z belek pod sufitem sali i obserwowała nabożeństwo z sennymi oczami.

A gdzieś z tyłu kościoła doleciało zachwycone gaworzenie dziecka, rywalizujące z odgłosami modlitwy, gdy dziecko bawiąc się próbowało złapać za język wielkiego grzywiastego lwa, który cierpliwie starał się wylizać jedną ze swoich łap.

Lew przerwał, jakby wpadł na jakiś pomysł. Potem wyciągnął pysk i wylizał twarz dziecka.

Modlitwa zakończyła się, i gdy dziecko zaczęło płakać, muzyka organów nabrała mocy, a głosy wszystkich ludzi zabrzmiały pieśnią o radości dnia dzisiejszego i nadziei dla świata.

KONIEC